Nr 2. Kraków, luty 1921. Rok II.

OGNIWO

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY POLITYCE, NAUCE I SZTUCE.

REDAGUJE KOMITET. — REDAKTOR NACZELNY: JAN OWIŃSKI.

PRENUMERATA: ROCZNIE 480 MK. — NUMER POJEDYNCZY 40 MK.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
KRAKÓW, MAŁY RYNEK L. 4, I. — TELEFON Nr 1286.

LUDWIK SKOCZYLAS.

Walka polityczna, czy sielanka?

(Zagadnienie silnej władzy).

Sprawa silnej władzy państwowej stała się od chwili powstania Polski osiowem zagadnieniem naszych dziejów, o które jak o kamień obrazy rozbijają się najlepsze usiłowania każdego naszego rządu.

Jest to zagadnienie, od którego rozwiązania zależy nietylko nasz rozwój, jako potęgi dziejowej, ale także nasz byt.

Polska, odzyskawszy po długiej niewoli, swój byt polityczny nie tyle dzięki swej oczywistej sile, ile raczej dzięki szczęśliwemu trafowi, który osłabił, a częściowo zdruzgotał trzy państwa rozbiorcze, musi wydobyć z siebie tyle energji, żeby zarówno okazać się zdolną do ciągłości w zamiarach, jak i stanowczą w działaniu. Państwo polskie otoczone ze wszech stron licznymi a potężnymi sąsiadami ostanie się tylko wtedy, gdy będzie miało silną władzę. W przeciwnym razie może się znowu rozpaść, a nawet w razie, gdy jeden z sąsiadów się wzmocni, zupełnie zginąć. Sprawa silnej władzy państwowej w Polsce jest równocześnie sprawą jej — „być albo nie być“.

I dlatego więcej niż w jakiemkolwiek innem państwie zagadnienie silnej władzy państwowej musi zajmować umysły wszystkich obywateli.

Jest ono od zarania dziejów naszych aż do dnia dzisiejszego wciąż jednako aktualne i niemal takie samo.

Silny rząd jest, był i będzie zawsze tam, gdzie jest jedność, gdzie jest organizacja, gdzie są silne ośrodki skupienia. Ale ta jedność, ta organizacja, nie powstają nigdy w drodze kompromisu, dobrowolnej umowy i porozumienia, jako dzieło dobrowolnej kooperacji, ani jako samorzutny akt zgody, ale są wynikiem siły i przymusu narzuconego innym przez jeden z ośrodków życia wewnętrznego, oraz walki, jaką on musiał stoczyć z innemi ośrodkami.

Tylko nasza moralizatorsko-sentymentalna historjozofja przedstawia nam tę sprawę w ten sposób, jakoby naród nasz zdobył się kiedykolwiek na silny rząd, a zatem na jedność i organizację, w drodze dobrowolnego uznania dobra ogólnego przez potulnych i łagodnych baranków-obywateli.

Całe doświadczenie naszych dziejów przeczy temu faktowi. Hart i moc naszej władzy państwowej nie powstawały nigdy w drodze pielęgnowania sielanki wewnętrznej, a więc w drodze kompromisów i przetargów, ale tylko i wyłącznie w drodze ciężkiej walki wewnętrznej oraz w ogniu prób różnego rodzaju.

Rzućmy okiem na te dzieje!

W dawnej Polsce proces jedności narodowej szedł równolegle z rozwojem idei monarchicznej. Królowie z dynastji Piastów byli ośrodkiem, skupiającym różnorodne żywioły i dzielnice i pokonywali przez całe trzy wieki z niesłychaną konsekwencją, energją, wytrwałością i ofiarami wszelki napotkany opór. Jeżeli ojciec nie mógł trudności przełamać, przekazywał to zadanie synowi, a ten znów swemu następcy. Czego nie dokonała siła bezpośredniego przymusu, to wieńczyła zwycięstwem wytrwałość i konsekwencja. Dzieje wytwarzania jedności narodowej przez królów z dynastji Piastów nie mają nic wspólnego z pokojową sielanką. Nieustające walki wewnętrzne, w których hartowała się siła władzy królewskiej i niknęły separatyzmy dzielnicowe, stanowią stałe etapy tego procesu zjednoczenia narodowego. Aż wreszcie władza państwowa uosobiona we Władysławie Łokietku, pokonawszy wszystkie żywioły odśrodkowe, stworzyła ową jedność narodową, której cementem była krew i żelazo i mogła przekazać ją następcom, jako owoc uporczywej i niezmordowanej polityki królewskiej.

Następcy Piastów, Jagiellonowie, mieli już ułatwione zadanie. Jeszcze i oni musieli staczać ciężkie walki i składać duże ofiary, aby utrzymać i utrwalić władzę królewską i jedność narodu. Ale już ostatni z nich schodzą z drogi walki, a tylko sprytem, targami, połowiczną łataniną usiłują trudności obchodzić. Korzysta z tego braku stanowczości u królów jeden ze stanów i zapewniwszy sobie przez nadanie przywilejów i usunięcie innych współzawodników wiekową synekurę, usiłuje przemienić proces dziejowy rozwoju dalszego państwa w sielankę. Ponieważ władza królewska, jako najpotężniejszy środek skupienia politycznego może stanowić przeszkodę w spełnieniu tych zamiarów, więc szlachta dokonuje zamachu stanu i rozbija władzę królewską przy pomocy ograniczeń t. zw. „pacta conventa".

I oto, jak się zaczyna u nas sielanka dziejowa, oparta o solidarność gminu szlacheckiego. Na gruzach władzy państwowej, uosobionej w królu, zaczyna się rząd sejmu szlacheckiego, który był tłumem bez organizacji, bez stronnictw, bez przywódców, i, jak każdy tłum, nienawidzący różnicy zdań.

Giną dążenia zbiorowe, a w braku stronnictw, związanych węzłem ideowym powstają kliki, połączone z sobą osobą magnata, którego interesowi służą. Błogie „dolce far niente" przeżywają teraz nie walki ideowe stronnictw, z których rośnie moralna siła państwa, lecz kłótnie i spory o synekury, dygnitarstwa, tytuły i urzędy. I właśnie w czasie, gdy Europa cała tonęła w walkach wewnętrznych, z których wyrosła jej nowożytna siła państwowa, u nas panuje błogi spokój. Wszystkie kłótnie rozwiązują się w drodze pokojowej, pozornie panuje dobrowolna jedność, która, jak wiemy, była tylko parawanem najstraszniejszej demoralizacji.

Dopiero w Sejmie czteroletnim zjawiają się prądy i stronnictwa ideowe, ale już — spóźnione!

Dlatego słusznie jeden z wybitnych znawców struktury duszy polskiej wydał taki sąd o rządach rzeczypospolitej szlacheckiej: „Szlachecka rzeczpospolita rozwinęła się na gruzach polskiej woli. Była ona bankructwem rozumu, odstępstwem od twardej woli ekonomicznej i politycznej".

Trzy wieki trwała zabawa szlachty z „malowanym" królem w sielankę polityczną, nazywającą się jednomyślnością sejmu, aż doprowadziła państwo do zupełnej zagłady i zatracenia jej potęgi i siły.

Oto — czego nas uczy doświadczenie naszych dziejów!

O wartości i potędze państwa nie stanowi więc zewnętrzna i formalna jego jedność, czyli zabawa w sielankę zgody. „Wojna kokosza“ była także aktem jedności i zgody, a przecież nikt nie zaprzeczy, że w istocie swej była zbiegostwem z pod sztandaru obowiązku.

Natomiast czyn Kościuszki nie miał aprobaty całego narodu, ale że był czynem dla idei, uratował honor Polski.

O wartości i sile państwa stanowi tylko wartość i ideowa siła stronnictw, które do rządu dochodzą. Jeżeli solidarność stronnictw opiera się nie na solidarności osobistych interesów jego członków, jak to było za czasów rzeczypospolitej szlacheckiej, jeżeli życie wewnętrzne stronnictwa podtrzymują jednostki ideowe, ożywione pragnieniem podniesienia siły państwa, to chociażby różnice ideowe między stronnictwami doprowadzały do najostrzejszych walk wewnętrznych, z tej walki zrodzi się zawsze tylko hart i moc, powstanie pierwszorzędny ośrodek skupienia, na którym państwo zawsze szukać będzie dla siebie oparcia.

Jeżeli jednak jedność narodowa nie jest wynikiem wewnętrznej, ideowej spoistości stronnictw i zrozumienia wspólnej potrzeby, ale wytwarza się na podstawie targów, kompromisów, połowicznej łataniny, wówczas rząd, wytworzony przez taką jedność, będzie zawsze, jak królowie rzeczypospolitej szlacheckiej, „malowanym“.

Zagadnienie zatem silnej władzy państwowej redukuje się do zagadnienia siły i ideowej wartości ośrodków skupienia. Temi ośrodkami są stronnictwa, wytwarzające rząd. Siła zaś stronnictw zależeć będzie od liczby i siły jednostek ideowych tychże stronnictw.

Tymczasem jakiż jest stan stronnictw?

W życiu naszych politycznych stronnictw współczesnych uderza ogromne obniżenie ideowego ich charakteru. Niektóre stronnictwa zamieniają się na wzór staroszlacheckich klik w grupy ludzi, związanych osobistemi tylko interesami. W miarę, jak obniża się poziom ideowy stronnictw, rośnie mur ambicji i prywaty poszczególnych jednostek. Na tle uwiądu wewnętrznego życia stronnictw walkę ideową na trybunach życia publicznego zastępują kłótnie, waśnie i spory osobiste, maskowane manifestacjami zewnętrznej solidarności i jedności stronnictwa.

W miejsce jednostek samodzielnych, ideowych wysuwają się na czoło życia politycznego jednostki ambitne, które sztucznemi środkami usypiają czujność społeczeństwa, aby je prowadzić jak

stado bezmyślne na pasku swych interesów. W miejsce walk ideowych wewnętrznych rodzi się pozorna solidarność, o nic nie dbała i martwa. Życie nasze wewnętrzne, w chwili najwyższego jego zewnętrznego napięcia, jest blade i senne. Przy dziele odbudowania państwa brak ludzi ideowych, silnych, samodzielnych, brak określonych programów, wyraźnych dążeń, wielkich namiętności, brak politycznego genjuszu.

Nasze stronnictwa myślą o sobie nie jako o sile, mającej wybudować swój świat, lecz jako o czemś, co się ma ostać mocą swego biernego trwania. Bezsilność i bezczynność swoją okrywają nasze stronnictwa pozorami solidarności i ciągłem zawieraniem kompromisów, które do reszty zacierają zarysy programów i mącą jasność idei. Są to niewątpliwie fatalne tradycje okresu niewoli. Z tradycjami temi czas największy już zerwać. Pracę nad odrodzeniem trzeba zacząć od siebie samych. Trzeba przedewszystkiem usunąć mur ambicji i prywaty, który się przed nami piętrzy! Inaczej zginą pod nim wszyscy. Chcemy stronnictw energicznych, śmiałych, o silnym, wytrwałym temperamencie. Miejmy odwagę walki i życia. Zdobędźmy się na siłę!

Wszelka siła, a przedewszystkiem dziejowa, rodzi się w wewnętrznej, ideowej walce, a nie w drodze ustawicznych kompromisów i przetargów oraz demonstracyj „solidarności".

W. WILSON.

Oswobodzenie energji życia.

(Tłum. P. Skiba).

(Dokończenie).

Według mego zdania, los i potęga Ameryki nie opiera się na dzisiejszych wybitnych ludziach; oparciem jej wielkości jest pewność, że mieć będzie i w przyszłości dostateczną ilość wielkich ludzi. Jej bogactwo tkwi w bogactwie jej jeszcze nieurodzonych dzieci, w tem, że przed temi dziećmi otwarte będzie wszechstronne pole do czynu, że będą one mogły wolno i swobodnie swe siły żywotne wyładować. Jeżeli one otworzą po raz pierwszy oczy w kraju, w którym nie będzie jakichś praw wyjątkowych, wtedy nastanie nowy okres amerykańskiej potęgi i amerykańskiej wolności. Jeżeli one jednak urodzą się tylko najmitami w kraju mo-

nopoli, w którym stosunki przemysłowe są regulowane przez grupkę ludzi, wtedy zapłaczą one nad swym losem, jakby zapłakali ci, którzy pod tę republikę wolną niegdyś fundamenty kładli. Nasza jedyna nadzieja — to oswobodzenie sił, które filantropijni prezesi trustów chcą w swe ręce chwycić. Ocalić nas może jedynie oswobodzenie i wzmożenie siły życiowej całego narodu. We wszystkiem, co mogę na terenie publicznym zrobić dla mej ojczyzny, mieć będę przed oczyma miasta Indjany, o starym, amerykańskim typie, które rozwijają swój własny przemysł z pełną wiarą w przyszłość i z pomyślnym skutkiem. Mojem staraniem będzie pomnażanie takich miast i starać się przeszkodzić skupieniu przemysłu, którego organizacja nie dopuści mniejszych ośrodków do współdziałania i współpracy. Wiemy, w czem tkwi zdolność życia Ameryki. Jej siły życiowe tkwią nie w Nowym Jorku, ni w Chicago,nie zachwieje ich to, co się zdarzyć może w St. Louis. Siła Ameryki tkwi w rozumie, zdolnościach, tężyźnie i przedsiębiorstwach narodu w całym kraju, w produktywności jej fabryk, wydajności jej pól rozciągających się poza rogatkami miast, oraz w tych bogactwach, które człowiek wydziera przyrodzie, względnie wytwarza tą szaloną pomysłowością, jaka go od innych odróżnia. Jeżeli jednak Ameryka zdusi różne lokalne przedsiębiorstwa, oraz zgniecie samodzielne prowincjonalne ośrodki, naród pójdzie prostą drogą do zagłady. Naród jest tem bogatszy, im więcej ma ośrodków pracy i produkcji; jego bogactwem nie są dwa czy trzy wielkie centra. Nagromadzenie bogactw w Chicago nie jest miarą bogactwa narodu amerykańskiego; miarę tę znaleźć można przy ogólnej obserwacji amerykańskiej przedsiębiorczości i produktywności przemysłu na całym obszarze państwa. Gdyby Ameryka była biedna, nie byłoby też złota na Wallstreet w Chicago. Gdyby Amerykanin nie miał siły życiowej i nie miał zdolności do samodzielnego życia, nie byłoby tu wogóle pieniędzy. Dobrobyt, całe istnienie narodu polega na zasobach szerokich jego mas. Pomyślność narodu zależy od tego, z jakim duchem lud pracy w przelicznych, po całym kraju rozsianych przedsiębiorstwach idzie do zajęć. Dopiero wtedy Ameryka spełni swą szczytną misję, która stoi przed nią, kiedy wszystkie mniejsze ośrodki, miasto i wieś swoje zadanie wykonać będą mogły.

Koniecznym warunkiem przyszłego naszego rozwoju jest szczęście, dobrobyt, żądza czynu i zapobiegliwość mężczyzn i kobiet, którzy z dnia na dzień w naszych kopalniach i fabrykach, na naszych kolejach, w kantorach i sklepach, na fermach i na

morzu pracują. Nie będzie nigdy zdrowia ogólnego, gdy oni nie będą zdrowi, zadowolenia — gdy oni nie będą zadowoleni. Ich życie odbija się na ogólnym stanie narodu. Co stałoby się ze Stanami Zjednoczonemi, gdyby oni wiecznie niezadowoleni szli do pracy? Co myślelibyśmy o przyszłości państwa, gdybyśmy się przekonali, że te całe rzesze o przyszłości zwątpiły? kiedy się nam odbierze amerykańską wiarę w siebie i starą zasadę osobistej swobody i możności zdobywania nowych zasobów, zacznie opadać nasza siła czynu, staniemy się ospali i gnuśni i będziemy się starać tylko o to, by dzień najbliższy nie przyniósł nam jakiego nieszczęścia.

Dlatego musimy ludowi dodać otuchy tem, że w polityce i przemyśle porzucimy tchórzostwo. Musimy w polityce dojść do tego, aby człowiek uczciwy mógł w niej brać udział z pełną satysfakcją, ponieważ będzie wiedział, iż zdanie jego taką ma wartość, jak zdanie drugiego, że interesa jednostek usunięte zostały. Musimy usunąć zapory tamujące rozwój przemysłu, znieść przepisy taryfowe, uciążliwości kolejowe, kredytowe i wszystko to, co stoi na przeszkodzie rozwojowi małego człowieka. W przemyśle musimy stworzyć ludzkie stosunki — nie przez trusty — lecz przez proste i jasne ustawy, które dają ochronę pracy, zabezpieczenie przed nieszczęściem i kalectwem, zdrowe warunki pracy, stosowny czas pracy, prawo organizacji, oraz te wszystkie zastrzeżenia, które sumienie powszechne narodu uważa za prawo robotnika. Musimy nasz lud przez społeczną sprawiedliwość i sprawiedliwe wynagrodzenie oraz przez widoki na możliwość pracy wolnej i samodzielnej dla każdego człowieka — podnieść i podtrzymać na duchu. Musimy dojść do tego, aby przed całym narodem i przed każdą jednostką otwarła się możność wyładowania wszystkich sił i całej energji; wtedy nasza przyszłość większą będzie, niż przeszłość. Wtedy spełni się przeznaczenie Ameryki. Dojdziemy do tego, iż pokolenia iść będą po sobie, a każde następne lepsze, wspanialsze i większe. Ameryka spełni to, co zapowiada.

JAKÓB BOJKO.

Kartki z pamiętnika.

Dzień 26 lipca 1914 r. Cały światek tutejszy był wesoły i my też. Urodzaje zapowiadały się cudowne, owoców drzewa unieść nie mogły, pogoda dała konicze i siano wysuszyć, toć było czego być wesołym. Tymczasem poczta po południu przyniosła wieść straszliwą, że Austrja wypowiada wojnę Serbom i manifest cesarza. Stary cesarz, między innemi pisał: „wszystko rozważyłem i wszystko przewidziałem“. Niestety, to było za śmiałe i nieprawdziwe.

Starostwo posłańcami przysłało rozkaz mobilizacji tak ludzi, jak koni i wozów. Takiego wypadku nie było u nas jeszcze, toć łatwo pojąć, co się działo po wsiach. Krzyk i płacz kobiet i dzieci krzepiła nadzieja, że skoro Prus wydał wojnę Moskalom, to Serbów się pobije za miesiąc a i Moskali to nie minie. Pospolite ruszenie ubrano w mundury i broń.

2 sierpnia wyjechali nasi wojacy ze wsi wśród płaczu ogólnego. Wieś opustoszała z najlepszych sił, ale to był dopiero początek. 3 sierpnia zjawił się nad nami aeroplan po raz pierwszy. Wspaniały ten wynalazek podziwialiśmy z trwogą, twierdząc słusznie, że on nam nic wesołego nie zwiastuje. 6 sierpnia dają mi znać, że syn Romek jest z patrolą w Siedliszowicach. Pojechałem z żoną, by ujrzeć jeszcze ukochane i posłuszne dziecko, może po raz ostatni. Oddział pospolitaków naszych 9 sierpnia wieczór przeszedł do Opatowca. Z śpiewem żegnaliśmy go pod szkołą.

Szukano kogoś, by pierwej zbadał, czy są Moskale w Opatowcu czyli nie. Nie chciał nikt iść. Był tam wprawdzie jeden chłop „szwarcownik“, Kieca, ale ten gdzieś się w kępie ukrywał, bo go miano aresztować za jakieś „pyskowanie“ na rząd Austrjaków. Ledwo go znaleziono i poszedł na wywiad. Moskale już wpierw uciekli z kordonów.

Dziesiątego odjechały nasze furmanki na wojnę i wieś bardziej opustoszała. Tegoż dnia wieczorem, przybył mój drogi kapral, Romek, by się pożegnać, a z nim paru żołnierzy. Jakie było rozstanie, na cóż to mówić. Nie mogłem jeść, ani pić, a i słowa więzły w gardle. Chciał sobie jeszcze na trąbie swej zagrać, ale i temu dał spokój. Wyszedł pod stodołę z nami za skałę, ale zaraz zawrócił, siadł na furę Józefa Koziary i odjechał — by już nie wrócić...

11. kąpałem się w Dunajcu, po południu razem z p. Stolarzem, nauczycielem tutejszym. Przysłano po mnie, że ułani szukają kwater. Wszystko zdrowe, piękne, dumne, pewne siebie aż miło.

16., w niedzielę, pojechałem z żoną i siąsiadami do Nowego Korczyna w towarzystwie straży granicznej. Pierwszy raz byłem tam bez paszportu. Zdawało mi się, że już Moskale zbici do imentu, że Polska być musi i to zaraz, a ta wiara była u nas w całej Galicji. Po sumie wyniesiono stół z kancelarji gminnej. Stanąwszy na nim, powiedziałem parę słów do zgromadzonych ludzi, którzy dość podejrzliwie na mnie patrzeli. A żydzi, kupkami stojąc, kiwali głowami, bo oni wiedzieli co się święci, lepiej niż my.

Wieczorem ze 40 galarów płynęło Wisłą, a na nich pionierzy austrjaccy z materjałem wojennym, pełni animuszu. Ludowina z Królestwa siedziała nad modrą rzeką, zadumana, a żołnierze ją pocieszali, mówiąc: „Nie smućcie się, bo my wam tego burka wypędzimy“!

Ukazało się między ludem, u nas, dość czapek sołdackich, których stosy leżały na kordonach. Znaleziono sporo i medalików religijnych. Nasi ludzie poznawali, że na nich jest wyobrażenie cara i niektórzy powiązali je psom u szyi. Atoli ja im obwieściłem, że to nie car, ale Chrystus w stylu bizantyńskim.

Posterunki żandarmskie były w ruchu nie lada. Wywoziły furami do Tarnowa marne i prymitywne łóżka sołdackie z kordonów, jako cenną zdobycz...

Dzień 18 sierpnia obchodzono za Wisłą uroczyście. Domy z nakazu nowej władzy ubrano w chorągiewki, dziatwa szkolna wystąpiła do kościołów uroczyście. Prawie cała okolica nasza znalazła się w Opatowcu, a z nią ks. H. i ks. D., katecheta z Tarnowa. Księża tamtejsi trzymali się bojaźliwie z rezerwą, całkiem usprawiedliwioną; toż mszę „cesarską“ miał ks. H. Nasi pospolitacy zajęli miejsce w prezbiterjum starożytnego kościoła w Opatowcu, a reprezentant władzy zajął miejsce w stallach... Celebrans po mszy przemówił do żołnierzy i do ludzi. Nazwał żołnierzy męczennikami, a ludzi pocieszał, że austrjackie wojska idą w obronie wiary. Kto padnie na wojnie, to pójdzie do nieba i t. p. Mowa ta była bardzo udatna, ale ludu tamtejszego nie porwała, bo oni żałowali swego cara, który „trzymał w ryzie panów i żydów“, podczas gdy u Austrjaków rządzą „pany i żydy“.

Pod szkołą w Opatowcu przemówiłem do ludzi. Wspomniałem, że wójt jeden, pytał się naszych wojsk, po co one tutaj przyszły.

Aby się i mnie nie pytano, pocośmy tu przyszli, oświadczam: przyszliśmy, aby się z wami po 142 latach rozłąki powitać! Kobiety jak zwykle płaczki płakały, a co myślały, któż tam wie.

Opatowiecki rynek był pełen honwedów węgierskich, którzy szli ku Kraśnikowi, gdzie się już biły wojska zajadle. Wojska te miały postawę „piękną“, animusz węgierski. Co kupowały, to płaciły gotówką. Wróciliśmy do domów, ale co do mnie, to miałem jakieś smutne przeczucie, gdym na syna Romka wspomniał. Przychodziło mi na myśl, jaki on był smutny, gdy bawił ostatni raz w domu. Napisał mi wtedy takie słowa: „Jadąc z patroli z Siedliszowic, jeszcze mam tyle czasu, że potrafiłem się zobaczyć z najukochańszymi rodzicami oraz i z familją, może to już ostatni raz w życiu. Lecz ducha nie tracę, mam w Bogu nadzieję, że jak Polskę odbijemy, wrócę na ojczystą ziemię. „Taki los wypadł nam, dzisiaj tu, a jutro tam“. Napisał na pamiątkę po sobie syn J. Bojki, Roman, kapral 57 p. p.“

Z Lisiej Góry, gdzie się zebrał 57 pułk, pisał nam w kartce: „Drodzy rodzice! Już może ostatnie pożegnanie dla wszystkich, z bólem serca, zasyłam. Już jesteśmy gotowi, może tej nocy pójdziemy. Proszę oświadczyć całej wiosce pożegnanie. Zawsze życzliwy Romek“. Jadąc za Wisłę, przez Szczucin, pisał: „Dotąd wszystko w najlepszym porządku. Zdrowy jestem. Pocieszamy się z Wojtkiem Dziublą jak można“. Później znowu zawiadamia, że „zdrowy, a powodzenie jak na wojnie“. Wreszcie ostatnia kartka „Drodzy moi! Jeszcze mnie nogi nie bolą, mogę iść na tę bestję, choćby nawet na kraj świata. Z Jaśkiem Kalafarskim, Wojtkiem i wielu innymi się widzimy, no i pocieszamy się dość ładnie. Kończąc, żegnam Was“. —

Przytaczam te pisma dlatego, aby pokazać, jakiego ducha miały polskie dzieci, idąc na Moskali. Po uroczystości w Opatowcu, wysłałem do syna takie pismo: Gremboszów, 23 sierpnia 1914 r. Kochany synu! Zdrowiśmy i pracujemy co sił. Duch u nas dobry. Wszystko stracić, aby tę potworę, Moskala, zdławić za nasze krzywdy. Chłopcy! Ks. H. powiedział w Opatowcu, że każdy żołnierz jest męczennik, bo walczy za wiarę i wolność ludów! Z Bogiem naprzód, a śmiało! Sprzątnęliśmy tylko siewkę i prosa. Kuba idzie dziś. Tyle ci piszę, całuję i błogosławię. Synu! Z Bogiem za wiarę i wolność“! Kartka ta już rąk syna nie doszła, wrócono mi ją, a ja teraz czytam ją i myślę: Boże! jacyśmy byli głupi!

O jaką to wiarę komu szło i idzie, to widzimy i jak się Niemcy nam wywdzięczają; toć aż wstyd pisać!

Koło polskie uchwaliło w Krakowie wystawić 2 legjony polskie. Kraków dał na ten cel 2 miljony koron. Na Radzie powiatowej, na mój wniosek, uchwalono dać na ten cel 10 tysięcy koron. Ludność polska w całym kraju niosła ofiary na ten cel niemałe, a chłopskie serca biły tak gorąco w tej sprawie, jak nigdy w Polsce. Pierwszą listę rannych i zabitych czytałem gorączkowo, a była dosyć skromna.

21 sierpnia zmarł Pius X, który nie był podobny ani do Leona XIII, ani do Piusa IX, pod względem politycznym.

Nadeszła wieść, że Prusak zburzył armatami Kalisz, a 24-go, że 57 pułk wycięty, że Moskal wpadł do Galicji na wschodzie, że tam „pali, wiesza, że kobietom piersi odcina i gwałci". Wieści roznosiła przeważnie „Reforma".

28 gazety przyniosły wieść, czyli, jak piszą, biuletyn Dankla: „Wielka bitwa, która rozpoczęła się 26 sierpnia, trwa dalej. Sytuacja naszych wojsk jest korzystna. Jest ciepło i słonecznie".

A było ciepło, bo dzięki ślamazarnej komendzie, nabito polskich wojsk pod Kraśnikiem i gdzieindziej, jak nigdzie aż dotąd. Moskale siedzieli okopani, a nasi jechali i szli do nich, jak na plac musztry. Toć ich padło siła, a Moskale potem sami mówili, że aż się dziwili głupocie austrjackich wodzów. A Dankl, marny wódz, narzekać śmiał potem w Izbie panów, na zdradę Polaków i dopiero uczciwy Niemiec, Diller, go splantował.

30 w nocy mój służący Soboń zbudził mnie i mówi: „Gospodarzu! Romek zabity, Karaś Paweł i Dziubla Jan zabici. — To się stało 26 sierpnia pod Lublinem, ale nie mówcie gosposi, bo by płakali". Cała nasza nadzieja na starość padła; za co?

Na cóż pisać, cośmy przechodzili po tej strasznej wieści? Odczują to tylko ci ojcowie, którzy ponieśli takie straty. Ale dziwić się należy, jaką drogą mogła ta wieść przybyć tak prędko do nas.

Wrzesień.

Złamany na ciele i duchu, chodziłem jak cień i nie było się czem pocieszać. A co było dla nas najboleśniejsze, to wieść, że ciężko ranny syn spalił się żywcem w stodole pod Ratoszynem. Żywiłem jednak tę nadzieję, że to „za wiarę i Polskę".

Dnia 13-go, w dzień odpustu u nas, przyszła do mnie żona

nauczyciela G. i radziła, aby brać cepów, wideł i nie dać się wybić Moskalom, którzy tu niebawem wpadną, bo Austrjacy już uszli z Opatowca. Cóż widły i kosy, naprzeciw karabinom maszynowym i innej morderczej broni?

Wspomnieć wypada o naszych legjonistach, którzy tu bawili jakiś czas. Ruch zrobili duży we wsi. Cieszyliśmy się, gdy ta czupurna wiara, co rano przywoziła z za Wisły moc różnych trofeów wojennych, jak koni, lanc kozackich i t. p., ale jakże było przykro grzebać pobitych biedaków, których przywożono z Królestwa! Był z nimi i ks. kapelan K, bardzo skromny księżyna. Pierwszy legjonista tu chowany, był niejaki Krynicki, człek wykształcony ze Lwowa, który się w Wiśle utopił, szukając brodu. Austrjacy bowiem zebrali wszystkie statki, jakie były, wpakowali je w Dunajec, a potem bezmyślnie, najniepotrzebniej, potopili. A Moskali tu, jak nie było, tak nie było.

Małe dzieci tutejsze, widząc ćwiczenia legjonistów, formowały się w szeregi, i plutony i nuciły te piękne piosenki, które były na ustach pełnych fantazji chłopaków. Wiara się bawiła, krzątała i zdawało się, że ci ludzie jadą gdzieś na wesele, a nie do boju. Któż się mógł wtedy spodziewać, że chytry wróg tak się im wkrótce odpłaci.

14, dostałem wieść, że w Opatowcu zastrzeliły nasze władze młodego człeka, rzekomo, że był zdrajcą... Strzelano go w wąwozie, tuż przy Wiśle, co na mnie bardzo przykre wrażenie zrobiło. W tym czasie Moskale dali znak życia za Wisłą, a to, dając ognia do płynącego statku Wisłą. Byłem wtedy z żoną w polu, gdy gęsta salwa karabinowa nas sporo przeraziła. Statek siadł na mieliźnie, toć bito w niego z pod Winiar cięto. Żandarmi pędzili chłopów, aby go zepchać, a sami się chowali w krzaki. Potem statek chłopi popchnęli. O Moskalach słychać coraz lepiej i widać, że są blisko nas. Weterynarz zamknął jarmarki, niby z powodu pryszczycy, toć nie można bydła ni świń sprzedać, a lud słusznie widzi, że to dla niego przepadnie. Tren nasz umyka ku Krakowu. Wziąwszy lunetę, obserwuję to, siedząc na kościelnej sygnaturze. Asenterują na „łapes capes“ kogo się da, uciekają i władze i kto może i gdzie może. Panika ogólna. Starosta Mądziel nie może nadolić wydawaniu legitymacyj, bez której się ruszyć nie można. Zboże drożeje, pszenica już po 30 koron. Owoców zrodziło się moc, ale je wojska sterały. Zboże się zrodziło jakby na żal, ale mądra komenda, nic nie mówi, gdy żołnierze ścielą pod konie złotą pszeniczkę.

W Żelichowie wprowadzili konie na wysoką warstwę pszenicy w stodole. Skarżącemu się dzierżawcy odparł z gniewem generał austrjacki, że za parę godzin przyjdą Moskale, spalą i stodołę — komu to chcesz chować?

Ponieważ mądry starosta w P. nie chciał dać legitymacji synowej i wnukom, będącym wtedy w Czarnej, musiałem sam być po to i ledwiem mu wyperswadował. 19-go odwiozłem rebiatę syna do Limanowej. 21-go, ledwom do domu wrócił, taki tłok na kolejach. Gdzie pojrzeć, masy wojska niepoliczone. Pociągi wiozą żywych i rannych. Na ścianach wagonów, jadących do wojny, były pisane kredą różne wierszydła, jak „Jeder Schuss, ein Russ“ i t. d., ale widać, że i Moskale nie kwiatami strzelają. 23-go byłem w Dąbrowie. Tysiące wojska uchodzi. Jadą i armaty! Takie potwory mają paszcze pokrowcami zakryte. I one nie pomogły. Starostwo umyka i władze, jakie były, a lud zostaje sam. Wieczorem widać, jak się Czarkowy za Wisłą palą. Do wsi przyszło sporo legjonistów i 3 pułk ułanów. U mnie poczta polowa i oficerzy leg., trochę wojska, gnoją zboża po stodołach i pokazują, co to wojna. Zapalili stodołę Kalafarskiego Woj. i Podsiadłego, czem lud słusznie rozgoryczony. 25-go odbył się tu smutny pogrzeb 10 legjonistów, przywiezionych z za Wisły: w tymże dniu przybył oddział „landszturmu“ węgierskiego. Lud dziki, brudny, obdarty, je, gotuje wciąż i bije wszy, tylko jęczą. Strzały armatnie słychać bardzo blisko. 36 koni stoi u mnie, ścielą pod konie zboże i konicz, a odezwać się nie wolno, bo grożą przebiciem. Poczty, ani żandarmów, oddawna niema.

Jechał tędy znajomy mi pułkownik leg., Piłsudski. Prosił mnie o papierosa. Paliłem te „dwa za centa“. Powiada: „Żeby łotry dali nam choć parę starych armat, tobyśmy mieli co innego“. Patrole rosyjskie już są w pobliżu; mówią, że tak nie robią, jak pisała „Reforma“, ale któż wie?

30-go. Przeżyliśmy miesiąc w strasznej niedoli. Kraj zniszczony, tysiące wdów i sierót, tysiące ojców i matek opłakuje kochaną dziatwę. Pola nie obsiane, handel ustał, komunikacji żadnej, a jednak ponoć ma być jeszcze gorzej.

Czy to cesarz przewidział, nie wiem, ale my — to nie.

Październik.

3-go. Dziś od Ujścia przybyły tabory, nocują w polu i biorą siano, słomę, co się da. Biedni ci ludzie; jeżdżą od 15 sierpnia

i zjechali moc świata. Byli pod Kraśnikiem, pod Krakowem, Odporyszowem i t. d. i znów jadą dalej. Koni padło tysiące; co troszkę leży w fosie biedna ofiara wojny, a kto i ile za nie zapłaci ludziom? Mickiewicz prosił P. Boga o wojnę ludów, ale on chyba nie miał pojęcia, jakie klęski wojna przynosi.

Kościół znał lepiej te rozkosze, skoro śpiewa w suplikacjach: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny“.

Poczty od 2 tygodni niema; władze i żydzi uciekli precz, a biedny lud został i patrzy z żałością, w co się jego trud obraca. Lud chodzi jak zwarjowany, każda twarz smutna, a dnie, jakby się chciały dostroić do tej sytuacji, są deszczowe i zimno zawcześnie zagaszcza. Czyżby tak być miało, jak w r. 1812?

8-go zimno i mróz, a ziemniaki jeszcze w polu. Z Dąbrowy nawet aptekarz uciekł, a został tylko zacny dyrektor Kasy zaliczkowej, Ludwik Zakrzewski. 13-go śniegi spadły. Uciekinierzy wracają, po części, a i starostwo dało znak życia. 20-go byłem w Krakowie. Marszałek krajowy Niezabitowski opowiada smutne rzeczy. Zrabowano go doszczętnie. 22-go byłem w Czarnej u syna, Adama. Moskale tam byli.

Listopad.

1-go. Odpoczywają tu 4 kompanje 40 pułku piechoty z Rzeszowskiego; bardzo grzeczne wojaki. Byli też i Węgrzy. Aeroplanów aż 7 unosi się nad nami, coś kiepsko: armaty ryczą z oddali- łuny za Wisłą, przyświecają bardzo. Żona i inni mi radzą, abym wyjechał na razie z domu i nie był, gdy Moskale zawitają. Wyjechałem zatem 6 listopada z Żelichowa, gdziem nocował, do Tarnowa furką. Ani przejechać można, tyle trenu jedzie na mosty przez Dunajec i ledwie wieczór tam dobiłem. W Tarnowie ulicą ku kolei coś strasznego! Wszystko się tłoczy ku kolei. Wojska, bydło, ludzie różni. Krzyk, wrzawa, nie do opisania; wszystko pędzi na oślep. Mówią, że jutro ostatni pociąg stąd odejdzie, a potem most na Dunajcu wysadzą.

Żandarmi, Niemcy, brutalnie się z ludnością obchodzą: znać, że wojna. Około 3 po południu ruszył nareszcie pociąg, z tą masą ludności, która opuszczała ojczyste strony, sama nie wiedząc, na jak długo. Połowa ludzi stała w kurytarzach, niby śledzie w beczce, a byli to urzędnicy, posiwiali w służbie rządu. Z jakiem sercem ja opuszczałem ten Tarnów — to pocóż pisać? Całe szczęście, że ten pociąg jechał do Podgórza 36 godzin! Pan J. dał

mi w tym czasie herbaty. Nie mając 36 godzin nic w ustach ciepłego, pokrzepiłem się nieco. Najwięcej ucierpiały kobiety, małe dzieci i słabi. Patrząc na nich, przypomniałem sobie słowa Chrystusa: „A biada brzemiennym i piersiami karmiącym w one dni“.

Kraków ewakuowany i zamkniony dla pociągów. Ci urzędnicy jechali na Morawę. Ja tam nie miałem jechać po co, udałem się na Suchą ku Limanowej, gdziem się spodziewał spotkać syna, Adama, z rodziną. 11-go przybyłem ledwo do Chabówki, a do Limanowy już pociągi nie szły. Na szczęście zabrali mię robotnicy do pociągu robotniczego. Zimno było przenikliwe, toż z gustem napiłem się herbaty, której przedtem nie piłem. 12-go koło południa, przybyłem wreszcie do Limanowej, gdzie zastałem popłoch, nie mniejszy, niż w Tarnowie. Szczególniej żydzi uciekali szalenie. Z Limanowej miałem nadzieję dostać się jakoś do domu, który tam pewno już spalony. Ale, aby umrzeć tam, gdzie i ś. p. rodzice pomarli, to uważałem za jedyne, największe szczęście.

Wpadłem w pułapkę, bo wojska rosyjskie parły ku Krakowu i ryk armat odbijał się złowrogo od pięknych wzgórków Limanowskich. 13-go wybrałem się z synem do Laskowej, gdzie ks. G. pasł nieliczną parafijkę. Ksiądz ten był u nas wikarym, zaraz po waryacie K. i swą serdecznością, szczerością i niezwykłą u teraźniejszego kleru dyecezji tarnowskiej wyrozumiałością, goił nam powoli te rany, które nam tamten zadawał. I tyle dokazał, że gdy odjeżdżał od nas, po dwóch latach pobytu, tośmy go płakali. My, rzekomi wrogowie kleru i wiary...

Okolica Limanowej przeurocza, ale od Łososiny do Laskowej to już przecacana i nie wiem, co ma piękniejszego Zakopane. Chyba te cudne turnie tatrzańskie; ale ktoby chciał w ciszy i tańszym kosztem użyć bożej natury, to tylko tutaj. Wyobrażam sobie jak tu ślicznie musi być w maju, gdy się te drzewa okryją młodziuchną szatą, a zwłaszcza modrzewie, których tu sporo rośnie. Nad wartko mruczącą Łososiną, gdy w krzewach cienistych, pocznie wyśpiewywać ów pieszczoch boży, słowik ulubiony, gdy wietrzyk majowy przynosi zapach balsamiczny ze wzgórz i lasów, gdy miłem echem posłyszysz głosy dzwonów i sygnaturek z Łososiny i Laskowej, to i Szwajcarja nie wiele mi więcej pokazała! Odżyłem tutaj nieco na chwilę, boć dusza moja była w Gremboszowie. Ks. Zygmunt przyjął nas z całej duszy i nawet musieliśmy u niego zanocować. Był tam u niego Z. M. dzierżawca Laskowej i drugi

uciekinier z Mikołajowic. Cały wieczór radziliśmy, co dalej, ale nic wesołego nie uradzono.

Kościółek w Laskowej — to niedawna świątyńka drewniana, ale jakże miluchna. Ja nie wiem, jak kto, ale ja się w pysznych bazylikach wcale modlić nie mogę, a przeciwnie, w takich prostych, skromnych przybytkach, dusza czuje się bliżej P. Boga i z większą świętością zbliża się ku Niemu. (Patrząc na piękny pająk, wspomniałem, że u nas, w Gremboszowie, w r. 1914, przed tą wojną, urwał się piękny pająk z powroza i rozbił po 50 latach swego istnienia). Lud dosyć miły, dobroduszny, a w głowie nie wiele u niego wiedzy. Ksiądz podnosił mi tu wójta J. i znachora Matrasa, do którego po radę jeżdżą zdaleka, nawet ludzie wykształceni. Jego djagnoza zgadza się zawdy z lekarską. Dzwony dość miłe, plebanijka wygodna, toć ks. Zygmunt kontent i powiada, żeby nie rad stąd się nigdzie ruszać, „boć nie będę jadł dwiema łyżkami“.

Dwór starodawny otaczają lipy, które śmiało liczę na 300 lat wieku. Była to własność biskupa Małachowskiego. W jednym pokoju, strop zachował ciekawe sztukaterje i malowidła czterech ewangielistów. Była tu widno kaplica domowa.

Wieczorem, od ludzi, jadących z Limanowej, dowiedzieliśmy się, że komisja asenterunkowa uciekła i rekruty upite z wójtami jeszcze pijańszymi, z „kurasiem“ jechali do domów. Cóż mieli lepszego do roboty? 15-go lasy posrebrzył szron i wyglądało to wspaniale, atoli mnie to nie bawiło, bom wciąż myślał, co tam robią ludzie w Gremboszowie. Nająłem tedy furkę i 17-go ruszyłem ku Jakubkowicom. Minąwszy Ujanowice, przybyłem do Łososiny, gdzie mię chłopi ostrzegali, by nie jechać, bo tam jest dużo Moskali na plebanji. Pojechałem mimo to.

Proboszczem w Jakubkowicach był ks. Paweł S., którego ojciec gospodarzył w dobrach hr. Potockiego. Zastałem tu dużo oficerów austrjackich, bo to była patrol ułańska. Ksiądz S. gdy mnie ujrzał, powiada: „Ha, ha, stary Kuba, zjadacz księży, do nich ucieka!“ „Nie martw się jegomość, ja się tylko przyszedłem dowiedzieć, czy mogę jechać do Zakliczyna i do domu“. „Nie możecie jechać. Moskale byli tu też przed chwilą. Oficer ich grzeczny, zachowali się przyzwoicie. Jeżeli jednak życie was nie mierzi to wracajcie do Limanowej i czekajcie dalej“.

Tak też zrobiłem; wróciłem do Laskowej. 18-go gdy ks. Zygmunt zaśpiewał w kościele ową wspaniałą pieśń: „Gwiazdo śliczna wspa-

niała", to przyszła mi na myśl ta wspaniała chwila, kiedy ongi z tysiącem pątników, szedłem wraz z ks. Kopycińskim, Wład. Sapiehą i innymi z dworca w Częstochowie do klasztoru, z tą pieśnią na ustach i nic dziwnego, żem się jak cielę rozbeczał.

20-go w Limanowej zjawiła się patrol rosyjska i tu na rynku pierwszego trupa widziałem. Pierwszy raz też widziałem te dzidy kozackie, na które nadziewała dzicz kozacka dziatwę przy rzezi w Pradze. Straszna ta broń była u nas w Polsce, dość wspomnieć dzielną husarję, lub szwoleżerów i krakusów. Jeżeli już narody nie mogą inaczej przyjść z sobą do zgody, tylko muszą się mordować, toby lepiej było, by jedyną bronią, była szabla i dzida, a armaty przelać na dzwony, by grzmiały Bogu na chwałę. 21-go mróz był tęgi; w nocy śnił mi się mój Romek. 24-go zjawiły się znów wojska austrjackie i legioniści z niemi. Ludność je witała i gościła czem mogła. 25-go wojska te ruszyły na bój. Austrjaccy oficerowie, gryźli wąsy ponuro, a legjoniści, w czapkach à la Poniatowski z pieśnią wyjeżdżali stąd, a mina — jak wszyscy djabli. Pytam jednego: Obywatelu! a czemu to tacy oficerowie austrjaccy zadumani? Ha! bo już Moskale niedaleko -- odparł tamten i ruszył w pole za innymi.

W nocy przybył teść Adamów do naszego pokoju i powiada: „Panowie wynoście się do innego pokoju, bo tu będą spać ruscy oficerowie". Wyszedłem i patrzyłem, jak żołnierze kupowali kiełbasy w sklepie.

Dwóch oficerów siedziało przytem, a płacili po rublu za kilo. Zdziwiło mnie, że tacy spokojni i grzeczni, że kobietom nic nie mówią i że nie rabują, ani biją. Oficerowie za kolację dość marną popłacili po 3 ruble. Zagadałem żołnierzy. Idą pod Kraków, który muszą zdobyć. „Peremyśl" już oblężony, nad Sanem austryjców mnóstwo padło. Germańców pobili 10 korpusów, a potem pójdą na Wiedeń i „Franca" w plen zabiorą i t. p. same pocieszne kawałki. Było między nimi kilku Polaków z Lubelskiego. Boże! co za los! Polak przeciw Polakowi, brat przeciw bratu! 27-go zrana był pogrzeb jakiegoś Rosjanina. Pop ruski i oficerów paru brało udział. Oficer suto ubrany pytał mnie, czyim kosztem budują ten kościół w Limanowej. Gdym powiedział, że kosztem parafjan, odrzekł: „To są widać ludzie bogaci". Oficerowie ruscy są grzeczni i skromnie żyją. Kapusta i czaj, to ich przysmaki. Gdzie był dom pusty, tam jednak rabowano, co się dało.

Wieczorem odbył się pogrzeb sześciu poległych naszych, t. j.

trzech legjonistów, jeden honwed, jeden ułan i jeden piechur. Leżeli biedacy w kostnicy. Jeden miał urąbane pół głowy, legjonista był kulą i lancą przeszyty, prawie dzieci wszyscy.

Żołnierzy grzebiono bez trumien, legjonistów w trumnach. Słońce chyliło się ku zachodowi, armaty grzmiały straszliwie i trzask karabinowych strzałów słychać było z za górki, jak garstka kobiet, dzieci i paru mężczyzn kładło do kamienistej ziemi tych młodych rycerzy, poległych z tą wiarą, że się biją „za Boga i Ojczyznę“, ale, czy im, lub Ojczyźnie co ich zgon pomoże?

Tysiące wron i kruków obsiadały szczyty drzew, lecz za każdym strzałem armatnim zrywały się, kracząc przeraźliwie i latały chmurami nad opuszczoną Limanową.

28-go już dwudziesty dzień, jak wyszedłem z domu. Oficer na drodze opowiadał, że staremu „Francowi“ jeszcze pofolgują, ale tego zbrodniarza germańskiego muszą powiesić. Gdy mu p. dr M. zrobił uwagę, że ich wojska rabują, odparł: „Chcieliście wojny, podług słuszności, to tu, w Galicji, powinno wsio być z ziemią zrównane jak na tym stole“. Na uwagę — co będą tu ludzie jeść, kiedy się zboże zniszczy, odpowiedział, że Rosja bogata, to po wojnie Galicji wszystkiego dostarczy.

29-go rocznica powstania listopadowego, ale cóż dziś? Odciętym od całego świata, ni gazety, ni poczty. Bój wre na zachodzie, a człek kończy ten straszny miesiąc ledwo żywy!

Grudzień.

Dzień piękny. Jutro, da Bóg, nam zamiar wracać do domu, bez względu, co mnie w drodze spotka. 2-go wyszedłem z synem i na południe byłem znów w Laskowej. Przed nadejściem Rosjan obaj z księdzem tutejszym zachowaliśmy skromne zasoby pieniężne do grobu zmarłej kobiety, we flaszkach. Idąc z synem wprowadziłem syna do ubożuchnej chaty dymnej, aby widział w jakiej się niegdyś jego ojciec urodził. 3-go o 10 rano stanąłem w Jakubkowicach, gdzie mię ks. S. mile powitał, mówiąc: „Dobrze, żeście Jakóbie przyszli, będziecie widzieć, jak mnie na tych świerkach będą szwaby wieszać, a potem dacie mi świadectwo, że ani mój ojciec, ani ja, moskalofilem nie byłem“. Dowiedziałem się odeń, że austrjacy zrobili u niego ścisłą rewizję, strzęśli kościół i wieżę, a wkońcu mu obiecali powieszenie, że gościł sztab ruski. Cóż mógł innego zrobić? Przy obiedzie generał się odzywa: „Ksiądz zapewne nie rad z nas?“ „Nie mogę temu za-

przeczyć, ale u nas, Polaków, gość w dom, Bóg w dom, choćby nam był i niemiły“ — odparł zacny kapłan.

4-go rano byłem na roratach. Po śniadaniu wpadł na probostwo sołdat z bronią i w czapie i powiada: „Papierosy majesz? — „Nie mam — odrzekł ksiądz“. Ten począł przewracać papiery po stole, a ksiądz mi mówi z cicha: „Ja tego łotra zastrzelę, bo mam strzelbę nabitą“. Jam mu wskazał na kilku Moskali, którzy u organisty już świnię opalali i złupili pasiekę. Chciał wejść do drugiego pokoju, ale mu ksiądz wzbronił. „Ja tu muszę popatrzyć, czy tam niema austryjskich oficerów“. Otwarł mu, ale go nie wpuścił, mówiąc: „To jest moja sypialnia. Ja tu miał sztab ruski, ale byli wszyscy grzeczni. Mam i papierosy, ale dla ludzi grzecznych. Widzisz! Ja jestem świaszczenik i t. d.“ Moskal wyszedł. Za chwilę wrócił pokorniejszy i prosił o czaj. „A widzisz, mówi wesoły ks. S., trzeba było odrazu tak mówić“.

Co się działo w naszych duszach, patrząc, co z nami wydziwia prosty sołdat — to trudno opisać. O pół do jedenastej ruszyłem ku Wronowicom w wielkiem zadumaniu, bo myślałem: jeżeli tak robią księdzu, co robią z prostym ludem?

Idąc wedle Tropia, wspomniałem na one słynne swego czasu misje ks. Antoniewicza w roku 1846. Pod gminą Wytrzyszecką powitałem mile Dunajec, a pod Czchowem podziwiałem ową smolną basztę, podobną do tej, co sterczy nad dolnym Kazimierzem. W niej to, w roku 1501, za Jana Olbrachta, ścięto syna księcia Piotra wołowskiego, Heliasza.

Aby się nie spotkać z jakiem nieszczęściem boskiem, ominąłem tę mieścinę i na noc zdążyłem do wsi Złota. Tu u wójta Michała D. zanocowałem. Tutaj była onegdaj bitwa, o czem świadczyły tak zwane „dekunki“ i domy zniszczone. Rosjanie zachowali się jeszcze dość poprawnie, a płeć żeńska doznała całkiem zawodu. Kapitan i coś żołnierzy ruskich tu leżą... Wziąłem stąd mosiężny czubek od szrapnela, aby go, jako coś osobliwego, w gminie pokazać. Niestety, parę dni potem było ich w Gremboszowie co prawie! W Łoniowach stało do 300 sztuk pięknego naszego bydełka dla wrogów, które głupota władz naszych jak na żal zostawiła.

Minąwszy Porąbkę Uszewską z grotą à la Lourdes, przybyłem do Dębna, gdziem z żoną niedawno bawił u koleżki S. Adama. Rosjanie tu obozowali i niszczyli aż miło. Na stokach wałów zamkowych leżało mnóstwo papierów, które sołdaci wyrzucili z zamku.

Moskale mieli pasję od wieków niszczyć książki i papiery, niby on słynny kalif. Gdym się zbliżał ku mostowi kolejowemu, spotkałem się z sołdatem, powożonym przez jakiegoś Rosjanina. Skoczył do mnie żwawo i pyta: „Kotoryj czas"? Nie mam czasu, bo mi go wasi zrabowali w Dębnie. „A wodku majesz"? Dałem mu i mknę dalej, aż miło. Niebawem jadący Czerkies zabrał mi przyrząd do golenia, duży, próżny pugilares i trochę drobnej monety, z której mi zwrócił koronę i kazał mi uciekać w las. W las nie szedłem, bo tam Moskale bili biedne sarny i kule tylko świstały koło uszu, alem „kroił" ku Bielczy, aż miło. Moskale naprawiali tor kolejowy, a ja myślałem, czy też jeszcze pojadę nim ku Krakowu... Z Bielczy szedłem przez las radłowski i na noc zdążyłem do Woli Radłowskiej, gdziem we dworku u p. Jana E. zanocował. Tu wieczór przybył nauczyciel G. i brat jego, profesor z Krakowa, i tam radziliśmy na temat wypadków obecnych. Żona p. rządcy opowiadała mi, jaką ciekawą minę miał mąż, gdy mu kozak zdejmował obuwie. Tutaj po raz pierwszy nabyłem obrzydliwej machorki ruskiej do palenia, której to „amunicji" taki był brak.

6-go rano przybyłem na jedenastą do Pasieki i przeszedłszy most na Dunajcu, znalazłem się w Otfinowie. W Dyamencie fury ruskie zabierały ostatki stodół, a ja przykulony w kącie ogrodu, z żalem patrzyłem, w co się całoroczna praca p. S. obraca. Niebawem ruszyłem prosto przez pola ku Gremboszowu i z radością ujrzałem, że kościół i cała wioska stoi. Podziękowałem gorąco P. Bogu, że mi przyzwolił wrócić. Nogi mię nic nie bolały, a zeszło mi czasu na tę podróż 25 godzin z przerwami. W domu zastałem wszystko zdrowe. Moskali mieli już do syta, a u mnie nocował Lamsdorf, który miał być gubernatorem w Krakowie. Pytał się żony: „Gdzie mąż?" Odrzekła, że na wojnie. Kazał wszystko wynieść z izby, nawet obrazy i tu go sołdaci myli szczotkami. Pożegnał się z żoną dość grzecznie, idąc na Kraków. Jego dieńszczyki bajały sobie różnie o cesarzu austrjackim, że już za stary, że u nich car jest zawsze młodym, bo się starają zabić go, aby się nie zestarzał. 15-go Moskale w wielkiej liczbie szli przez Gremboszów. Chłop w chłopa olbrzymi, dobrze wychowani i ubrani.

Ciepło miały bandy ruskie rekwirować bydło, zboże i t. p. i fraszką było we dnie to przebyć, ale w noc? Za Wisłą biją armaty, że aż ziemia jęczy, a 20-go przybył nowy transport z jenerałem Majmajowskim na czele. U mnie stanęło dwóch oficerów z kamczackiego pułku. Mieli dieńszczyka Fiedora młodego i do-

brego chłopca, który im wciąż warzył czaj i mówił, że się „upili czaju, jak byki“. Moi chłopcy go bardzo lubili.

10-go było 19° Reum.; sadzę drzewa, lud orze, nie pyta, a wojna ku Bochni huczy, jak „wciorności“. 13-go Moskale dostali rznięcie pod Krakowem i 18-go nad Dunajcem bitwa wre nielada. Dzień jak dzień, ale noc to strach. Bandy ruskie snują się wciąż i kradną, co się da, a wkońcu pewnie wieś spalą.

20-go w nocy transport Rusów przybył do wsi. Wczoraj szrapnel zabił chłopaka Karczmarczyka w Ujściu. Stał za sadem i poległ. Prawie że gorąco. 21-go zrana mróz. Całą noc nie śpimy, bo muzyka wściekła. Przybył 44 pułk wołyńców. 22-go zeszliśmy do piwniczki pod domem, gdzie były ziemniaki. Nie mając pojęcia o sile granatów i szrapneli, sądziłem, że tu się schronię. Koło jedynastej zrana, jak padł szrapnel przy stajni księżej, jak się dom zatrząsł, tośmy sznurkiem uciekli z piwnicy ku błoniom; trzy szrapnele padły przy kościele, jeden przy sali księżej, a po wsi było ich niemało. U mnie zrujnowało nieco domu. Uszliśmy na Wolę Żelichowską. Doły od kul były wielkie, żeby dwadzieścia ludzi się w nie schowało, a zacny proboszcz z ambony nas pocieszał, mówiąc: „Jeździliście po jarmarkach, to teraz macie doły“ i t. p. 22-go cztery kule padły przed domem i gdzie indziej, ale bez szkody.

W Zawierzbiu spaliły się dwa domy i padło sporo sołdatów od trenu, którzy się czają poza stodoły. Największy bój wre koło Otfinowa i Żabna, bo słychać piekielne granie dzień i noc. 24-go wyszedłem na święta do Ćwikowa. Czas cudny, ale cóż mi z tego, kiedy wkoło bój, a my w środku! Pod Borusową był most, ale widać, że się pali. 25-go smutne gody w Ćwikowie. W Oleśnie są księża z Otfinowa, bo tam szrapnele austrjackie biją straszliwie w nowo wybudowany kościół. W Oleśnie na sumie pełno Rosjan. Prawosławni słuchają z ciekawością naszych przecudnych kolend, które tu lud pięknie nuci. W Oleśnie mnóstwo forszpanów i ludzi ruskich, a ta nasza lokalka, ten wykpiwany samowarek, oddaje Moskalom nieocenione przysługi.

27-go deszcz duży. 28-go wróciłem do domu. Tu stoi dwóch oficerów od telefonu, ludzie dość ograniczeni; śpią na mych łóżkach, ja zaś z rodziną tulę się na ziemi, a na tapczanie przy nas, w małej izdebce leży umierający szwagier. Bóg wie, ale my nie wiemy, kto górą. O! straszne czasy! (C. d. n.)

JÓZEF ANDRZEJ TESLAR.

Mocniejsza, niźli śmierć.

(Szkic do poematu).

Siedzę samotny w opuszczonym sadzie
za okopami wśród ryku granatów...
tęsknoty jęczą cicho w mojej piersi,
a myśli w głowie szumią sennym gwarem...
Siedzę tu w sadzie — w dziewczęcej koszuli,
którą znalazłem wykopaną z ziemi...
Kraśnie się do mnie śmieją wyszywania,
a miękkie płótno chłodzi moje piersi
i zastępuje pieszczotę niewieścich,
tak mi dalekich dziś, kochanych dłoni...
Słońce dogrzewa i obchodzi pola,
jako gospodarz tak zafrasowane
i z niemym lękiem ogląda ruiny
i spustoszenia w chałupach i sadach...
a ja — bez troski siedzę tu na ulu,
w starej pasieczce, spustoszonej wojną,
stół uczyniwszy z kraśnej chłopskiej skrzyni...
Hej! gospodarze! chowaliście w ziemię
te wasze skrzynie i zboże i statki,
ubiory kraśne, płótna i kożuchy —
a przyszedł żołnierz głodny i obdarty
i z schowków wasze powyciągał skarby!...
Smutek mnie bierze i litość, gdy widzę
ten sad skopany, przeryty rowami,
w którym się nasze skrywają rezerwy —
te wpółspalone i zmierzwione strzechy
i potargane granatami drogi...
Słońce w twarz moją zachodnie spogląda,
rozumiejące smutną duszy mową,
złoci żołnierzy nagie, śniade ciała
uganiających za rybą po rzece,
albo zwożących z pola cudze snopy
i krwawi długie kos lśniące żelaza...
A kiedy wieś już obeszło i sady
i białe chaty w drzewin zieloności

osierociałe, a pełne żołnierzy,
ostatnim błyskiem spojrzało mi w oczy
i smutku zamęt oświeciło w duszy...
. . . .
Kimże ja jestem? — pytam się sam siebie —
żołnierskie buty — a chłopska koszula...
w cudzej zagrodzie wojenny przybłęda —
sen to — czy jawa?... nieszczęście czy zbrodnia?...
Kimże ja jestem?... Nie wiem sam doprawdy
i jakby we śnie wspominam swe dzieje,
dni długiej męki, trudu i szukania,
wędrówki wiecznej z zamknionego Raju
do nieznanego szczytu Świętej Góry...

Już słońce zaszło — płoną wciąż rakiety
i armat granie rzuca krwawe błyski —
wiatr chłodny powiał przez grzędy jarzyny,
a duszę opadł lęk i smutek żalu...
Dzień się znów kończy — a niewidać celu
tej strasznej wojny, nędzy i rozbojów,
ni końca głodu tak duszy, jak ciała...
Sen to — czy jawa?... nieszczęście czy zbrodnia?...
Kimże ja jestem?... skąd i dokąd idę?...
żołnierskie buty — a chłopska koszula —
w cudzej zagrodzie wojenny przybłęda,
wędrowiec wieczny zamknionego Raju
do nieznanego szczytu Świętej Góry...
. . . .
I zdaje mi się w zamyśleń godzinie,
że moja dusza wędrownica wieczna
przez lat tysiące błąka się po świecie,
choć tak niedawno w pierś człowieczą weszła...
I zdaje mi się o zmierzchu godzinie,
kiedy tak żołnierz siedzę w pół — pod ziemią
wpośród okopów i zbrojnej drużyny,
żem jako tułacz Żyd-Wieczny słowiański
przeszedł i krajów i wieków obszary,
żem polskość moją w mej żołnierskiej piers
skował z tysiąca kamieni i kruszców,
z tęskną pra-wiarą zbieranych po drodze.

A może jeno w mej piersi się mieszczą
tysiączne głosy pomarłych praojców,
może śmiertelnik o krótkim żywocie
nie godzien byłem Króla-Ducha drogi,
a jeno wielka i dziecięca miłość
zaklęła duchów zorzane girlandy,
które me serce opadły stroskane,
różaniec wspomnień szeptając o zmroku...
I oto nie wiem — czyli widzę jasno
mając powieki obcięte okrutnie,
czyli też oczy wydarto z mej czaszki,
a próżne doły gorączką trawione
w bolesnych ogniach widzą li ułudy,
w wieczności czasu męczeńskiego wskrzesłe...
Wszakże nieświadom początku ni końca,
wspomnieniem Raju przeklęty na wieki
i złudą niebios szarpany ku gwiazdom —
czylim sam przeżył żywotów tysiące,
czy w jeden żywot tysiąc duchów skupił...
wiem — żem jest w męce... a obręcz boleści
żołnierskie serce zaciska bez jęku...

. . . .

Pamiętam niegdyś siedziałem ja dumny
na onyksowym tronie na tarasie
pod tarczą słońca ze złotemi skrzydły,
z pod oka patrząc na bronzowe ciała
gibkich niewolnic, chłodzących me skronie
wachlarzem z strusich piór miedzią okutym,
albo też pawich w kościanej oprawie.
Wtedy kapłani w powłóczystych szatach,
o białych brodach, wśród uczonych ruchów,
w pokorze wielkiej przychodzili ku mnie
z papyrusowych zwojów skrzyneczkami
pod lewą ręką, przykładali prawą
do stopni tronu, całując me stopy...
Oni to słudzy najwyższego bóstwa
mnie ogłaszali za potomka bogów
i znawcę Prawdy... tam więc czczony byłem
jako król pustyń i błękitnej rzeki,
jako syn boży, syn Rha najwyższego...

. . . .

Pamiętam znowuż, jak z miską drewnianą
spalony słońcem, z lwią skórą na grzbiecie,
wsparty na starym, kościanym kosturze,
szedłem przez wioski wśród trzcin budowane
na bitych palach, albo przez pustynie
do białych oaz popod smukłe palmy;
wszędy mi w miskę dawano jałmużnę
i całowano z czcią wielką po rękach
jako świętego, pielgrzymującego
Do Raju Dobra, o którym nikt nie wie,
w jakiej on stronie świata się ukrywa...

. . . .

Pomnę — to było tam pod Salaminą...
dumny zwycięstwem wyskoczyłem z łodzi,
w mokrą tryremę smukłe-m cisnął wiosło
i biegłem brzegiem gorącym, zielonym,
chlamydę białą rzuciwszy na ramię,
tam — na Akropol, kędy tyle razy
brałem nagrody za świetne igrzyska,
czy za rzut dyskiem, czy za skok najwyższy,
czy to za wyścig, czy zapaśną walkę,
a nawet nieraz za pieśń zaśpiewaną
przy wtórze lutni w uczonych gromadzie...
Ach! ileż było szczęścia i młodości
w mej silnej piersi! — We mnie i wkoło mnie,
na każdym kroku stawało się ciałem
przeczyste, młode, nieśmiertelne Piękno!...

. . . .

Pomnę — jak później uchodząc rozgwaru
i pokus świata popadłego w błędy,
sam zamieszkałem w skalistej pieczarze,
srodze biczując wychudzone ciało,
w łzach rozmyślając o nieziemskich rzeczach
i tocząc walki z szatanów gromadą.
W myślach rodziły się ustawne bunty,
duch się herezji lękał potępionych,
a przecież rozum był wciąż prawdy głodny.
Więc mocą ducha, modlitwą i męką
nieraz wznosiłem swe ciało od ziemi

i zawieszony kilka stóp w powietrzu
pomiędzy światem a niebios sklepieniem,
miałem widzenia o siedmiu pieczęciach
zamknionej księgi białego Baranka...
Poczem zapadłszy znów w półmrok mistyczny,
schodziłem na dno odwiecznej Doliny,
gdzie słońce świata nigdy nie dotarło...

. . . .

Pomnę — jak potem w aksamitnym płaszczu
i takimż miękkim czerwonym berecie,
w złocistych lokach ze złotawą brodą
rzeźbiłem wielki posąg w środku rynku,
albo męczyłem myśli nad maszyną,
którąby mierzyć czas można dokładnie
nie za pomocą cienia, wody, piasku,
ale ciężarów i kółek zębatych
lub nad machiną do bombardowania
twierdz oblężonych, albo nad skrzydłami,
z pomocą których człowiek latać może
wyżej niż jastrząb, skowronek i orzeł...
Władałem wtedy i w piśmie i w mowie
dwudziestu trzema językami świata
i wykładałem na siedmiu katedrach
podróżowałem do Indów i Turków,
mając zaszczytne listy władców Wschodu.
Umiałem łamać z łatwością podkowy
i grać na lutni mą kobiecą ręką,
tańczyć i śpiewać, rymować canzony,
rzeźbić posągi, kreślić krajobrazy
górskie i morskie, malować potwory
jak i najsłodsze oczy cudnych dziewic,
budować mosty wiszące na rzekach,
kanały wodne i gmachy publiczne,
oraz świątynie z kopułą tak wielką,
jako pół nawy głównej na jej długość
i ołtarzami rzeźbionemi dłutem
we wszelkich znanych kolorach marmuru,
zdobione nadto cyzelerską sztuką
w metalach dotąd nikomu nieznanych.
Ja bowiem jeden posiadłem nareszcie

ów alchemiczny mój kamień mądrości,
z jego pomocą wytapiając złoto
i mnóstwo nowych nieznanych metali...
Znalazłem nawet mleko tak cudowne,
że przywracało twarzy starej młodość,
oraz truciznę bez śladu nakłócia
zabijającą ludzi i zwierzęta,
drzewa, rośliny, a nawet kamienie
(bowiem odkryłem i w nich moc życiową).
Twarze przezemnie malowane miały
magiczną władzę czarowania ludzi,
nietylko wszystkie kobiety w słabości,
lecz najsilniejszych, gdy się wpatrywali
w nie nazbyt długo... Owszem — w jednej twarzy
widzieli świętych i czarty zarazem.
Raz uczyniłem swój własny konterfekt
tak znów przedziwny, że prócz mojej twarzy
widziałeś lica smutne Chrystusowe,
a zaś za moment oczy Belzebuba...
Papież mnie wyklął za naukowy traktat,
który mi uczeń wykradł z pod kluczyka
i oddał z trwogą jakiemuś mnichowi;
lecz tenże papież był mym przyjacielem,
skoro otrzymał odemnie w podarku
cztery świeczniki i jedną monstrancję,
trzy relikwiarze, dwa pacyfikały
i z ametystem w srebrze wyrzeźbiony
w kształcie irysa przepiękny pastorał.
Wiedziałem wszystko i umiałem wszystko,
a jednak — nigdy nie byłem szczęśliwy...
Mówiono nieraz, iż dlatego właśnie,
żem zawsze gardził miłością kobiecą —
ale ja temu nawet dziś nie wierzę...
. . . .
Płonąłem ci ja pobożną miłością
do Przenajświętszej Panienki — —Jej sługa,
towarzysz wierny usarskiego znaku,
gdym bieżał w drogę z dzielnym królem Janem,
by oswobodzić chrześcian od niewiernych.
Pomnę — pędziłem na srogim bachmacie

w złocistym rzędzie turkusami lśniącym
w karmazynowym czapraku z frendzlami...
Nad głową szabla świstała mi krzywa,
tnąc podłe karki rozbitych pohańców,
których rozpierzchłe na wsze strony stada
wrzeszcząc o pomoc Allaha, czy czarta,
precz uciekały z pod wiedeńskich murów...
Hej! Wtedy z dumą rycerską me serce
śpiewało zbożnie w obozie Te Deum...
Cisnąwszy szablę, skrawioną po bitwie,
ległem w namiocie, rozbitym na polu
właśnie przez Turków poległego baszę
i na zdobycznych chorągwiach pogańskich
usnąłem twardo w połowie Godzinek...

. . . .

Pomnę — to blade, przepiękne oblicze
Napoleona — twarz greckiego boga
dumną i mądrą, nigdy nie zbadaną...
W nią to wpatrzeni szliśmy, legjoniści,
wzdłuż i wszerz całej zburzonej Europy.
Ludy padały przed nim na kolana,
inne runęły pognębione w boju;
pod jego stopy, nieznające zapór,
spadały berła, korony i trony...
Italja wdzięczna, pustyń piramidy,
kraje nadreńskie, czy twierdze Kastylji,
czy nawet Kremel, płonący wśród mrozu —
oto był teatr wojennego szału,
co go ponosił przez Alpy i morza,
jak na orłowych znaków jego skrzydłach...
Wielekroć dumał on nad Polski kartą,
wielekroć słowo rzucił nam nadziei,
więc dusze nasze żołnierskie, żelazne,
szły za nim wierne, aż po ludów bitwę...
Kto przeżył — znowu imał się oręża,
bo blade widmo dumnego cesarza,
co skonał więźniem na samotnej wyspie,
długo nie dało drzemać polskim szablom,
idąc pod rękę z widmem z dna Elstery...
Cesarz i Książę szli nieraz nocami

przez błonia senne polskich bojów sławnych,
obadwaj radząc — jakby wkrzesić Polskę...

. . . .

Pamiętam — celę oną poklasztorną,
gdzie mnie wrogowie więzili za kratą,
jako zbrodniarza za ojczyste słowa,
za polskie pieśni i polską naukę!...
Później się srogo mściłem tej zniewagi,
kiedy wymknąwszy się ze wsi do lasu,
z myśliwską fuzją, wyniesioną z domu,
z partyzantami poszedłem w powstanie...
Unikaliśmy bitw, a tylko z boku
kąsali-m wroga wielokrotne masy,
lecz osaczeni regularną siłą,
głodem, ranami, mrozem umęczeni,
poszliśmy wszyscy powoli w rozsypkę...
Ranny, w niewolę popadłem ostatni
i wędrowałem w sybirskie katorgi...

. . . .

I oto dzisiaj — młodość znowu świeża
i serce mężne, posłuszne Ojczyźnie,
jak orlę młode z rodzinnego gniazda
precz mnie wywiodło — ku słońcu wolności!...

. . . .

To nie marzenia, ani senne baśnie,
wszystko to moja własna rzeczywistość,
tak-ci niedawno miniona, a droga,
że mi się zdaje wczora, lub przedwczora —
I żebym wszystko mógł powtórzyć wiernie,
zrobić na nowo, lub dalej prowadzić,
tak każdy czyn mój i myśl mą pamiętam...
I nadal jestem wszystkiem o czem pomnę...
Dziś dobrowolnie chwyciłem za oręż
i w srogiej wojnie szukam co dnia wroga,
zdaje się niby nieznanego wcale,
ale tak dobrze znienawidzonego,
srogiego kata upadłej Ojczyzny,
którą dźwigamy dzisiaj zbrojną ręką
wstającą z grobu, królewską, choć słabą...
W mściwej pogoni i orężnej zwadzie

przeszedłem tedy Węgry i Karpaty
i Bukowinę, potem Ruś Czerwoną,
przeszedłem Wisłę, Bug i Chełmską ziemię,
aż po litewskie puszcze i Ruś Białą,
wkońcu na smutne przybyłem Polesie...
Ileż to bitew w sercu zapisanych,
ilekroć szliśmy w pościgu za wrogiem
lub on nas tropił, jak leśną zwierzynę...
W onym zamęcie mordów i pożogi
przypomnę czasem, kim byłem — kim jestem,
choć lżejby było o tem raz zapomnieć.
Cud zapomnienia zdziałać jeno może
gdzieś czasu bitwy dobroczynna kula...
Lecz dotąd — chociaż wyrzekłem się domu,
kochanych moich, ciszy i pieszczoty,
białego chleba i ksiąg ulubionych,
smutek mnie trawi, lęk i nieświadomość
Twojego jutra, najdroższa Ojczyzno,
chocia-m na własne jutro niepamiętny!....
Czasami zda się, że nie wiem dlaczego
ktoś-ci mnie krzywdzi — że ja kogoś krzywdzę,
czasami nie wiem, kim jestem naprawdę,
miłość wszelaką precz wygnawszy z serca,
choć przecie kocham wszystkich — do boleści...
Pamiętam wszystko — a o wszystkiem pragnę
zapomnieć wreszcie — wyrwać serce z piersi
I pamięć z mózgu dla Ciebie, Ojczyzno! —
Ojczyzno moja! Wciąż idę ku Tobie
przez krew i trudy — a Ty wciąż daleka,
uciekasz w niebyt, skrywasz się tak długo
przed mą żołnierską, stęsknioną powieką...
Przyjdźże nareszcie na ziemię z za grobu,
bowiem tak długo idę ja ku Tobie
zda się przez wieki, mękę, zapoznanie,
przez głód i nędzę żołnierską dławiącą,
bom ci Twój człowiek i Twój żołnierz śmiały,
Twój syn ostatni — lecz do śmierci wierny!...

. . . .

Życie ci niosę w żołnierskiej ofierze —
więcej niż życie — bo ofiarę duszy

dziś obłąkanej w bojach i rozbojach,
umiłowania wszystkie przenajczystsze,
najdroższych marzeń i ukojeń widma,
ręce i serce, rozum mój i wolę,
wiarę i wiedzę i wszystkie miłoście,
Tobie, Ojczyzno! — mocniejsza od śmierci!...
. . . .

Na pozycji pod Sitowiczami, w lipcu 1916 r.

Dr JAN EMIL LANKAU.

Nieporozumienia.

Jeżeli chodzi o zasadnicze rysy charakteru polskiego, to w pierwszym rzędzie podkreślić należy wybujały indywidualizm, a co za tem idzie samowolę, warcholstwo i wyniosłość, dalej typowo słowiańskie marzycielstwo, prowadzące w konsekwencji do lekceważenia twardych nakazów życia, do nie liczenia się z rzeczywistością i wyczekiwania z pogodną beztroską lepszego jutra: jakoś to będzie...

Tylko w wyjątkowych wypadkach, kiedy dach wali się nad głową, dusza polska zdobywa się na energję i płonie przez krótki czas słomianym ogniem zapału, karności i zgody powszechnej. Ale już pierwszy sukces osłabia wolę zbiorową, powoduje zastrzeżenia, wahania, a wreszcie zupełny odwrót w zacisze bezczynu. Niestety, wiekowa niewola nie zmieniła w niczem tych ujemnych cech naszego charakteru narodowego. Gdyby ktoś zamieścił w artykule o Polsce współczesnej nawoływania do poprawy Górnickiego, Modrzewskiego, Skargi lub Mickiewicza, to miałoby się wrażenie, że napisał je jakiś bystry obserwator ostatnich dni.

Te same wady: warcholstwo, prywata, niezgoda i brak poszanowania władzy.

Szczególnie inteligencja, jako główna spadkobierczyni kultury staroszlacheckiej przedstawia smutny obraz rozbicia. Podzielona na partje i partyjki, które programowo niczem się właściwie nie różnią, gdyż powstają jedynie dla wygodzenia ambicjom nieprzejednanych warchołów, traci siły na zwalczaniu się wzajemnem, lub też staje się biernym świadkiem gigantycznej walki o własną skórę.

Wybujały indywidualizm nie pozwala jej na zorganizowanie się w karne stronnictwo, a przez to przeciwstawienie zwartym masom robotniczym i chłopskim. A przecież robotnicy, tylko dzięki międzynarodowej, prawdziwie wojskowej organizacji, nakazującej ślepy posłuch wskazaniom partji sprawują dziś jeśli nie faktyczną, to w każdym razie moralną dyktaturę nad całym światem, pomimo, że procentowo stanowią znikomy odsetek ludności.

* * *

Zupełnie inną jest psychika chłopska.

Chłop jest urodzonym materjalistą, nieczułym na wszelkie mrzonki; niedostępny dla idealizmu, myślący trzeźwo, pracowity, sprytny, uparty i wytrwały, szanujący władzę, ale pozbawiony zmysłu wspólnoty państwowej, zahypnotyzowany wiekową krzywdą i odnoszący się z dużą nieufnością do „panów" i Polski.

Wojna przebudziła go z wiekowego letargu, oczyściła jego hipotekę, podniosła jego dobrobyt i nadała mu szerokie prawa polityczne. Chłop powojenny stanął wobec niespodziewanego przewrotu oszołomiony i nie przygotowany do gigantycznego zadania odbudowania politycznego, gospodarczego i kulturalnego swojej ojczyzny.

Polskę ciągle jeszcze uważa za jakąś pańską zachciankę, poza którą kryje się niecna intryga, gotująca mu nowe krzywdy.

I oto jesteśmy świadkami ciekawego nieporozumienia... Wygłodzona inteligencja apeluje do idealizmu chłopa, wyczekuje, rychło kmiotek otworzy swoje spichrze i zacznie zboże i ziemniaki sprzedawać poniżej kosztów produkcji, aby w ten sposób odwdzięczyć się za wybawienie z niewoli. Żąda się od chłopa przejęcia ideą altruizmu i wzniosłego miłosierdzia, chociaż życie dawno przekreśliło te zasady i wysunęło na czoło postulat walki klasowej i chociaż żadna partja, żadna klasa, będąca kiedykolwiek u władzy, nie przestrzegała ich nigdy.

Szlachta polska pozostała głuchą na wołania o uwłaszczenie chłopów, lekceważyła interesy miast, które musiały się udawać pod opiekę przywilejów królewskich, unikała świadczeń na rzecz państwa, nie płaciła podatków. Skoro na sejmie czteroletnim uchwalono po długiej obstrukcji podatek na wojsko, powstał jakiś poseł i wśród ogólnego aplauzu zaproponował, aby z ustawy usunąć słowo podatek i zastąpić je określeniem „wieczysta, dobrowolna danina", co też jednogłośnie przyjęto. W rezultacie skończyło się

na gadaniu, gdyż danina ta nie przyniosła ani 25% sumy preliminowanej. A przecież działo się to w przededniu rozbioru Polski!

A dziś, czy kupiectwo kieruje się zasadami już nie altruizmu, ale elementarnej uczciwości?

Doświadczenie uczy, że trzy czwarte kupców z zimną krwią uprawia rozbój na kieszeniach konsumentów i paskarstwo. Także robotnicy o lada głupstwo strejkują i swoje interesy klasowe stawiają ponad dobro ogółu i państwa.

A wreszcie urzędnicy, stanowiący trzy czwarte szeregów „inteligencji", albo pracowników intelektualnych, jak się ich zwykło całkiem niesłusznie nazywać?

Człowiekiem inteligentnym jest dla mnie jednostka, umiejąca samodzielnie myśleć i definjować zagadnienia życia, jednostka twórcza, która umysłem swoim wybiega poza szablony. Pracownikiem zaś intelektualnym człowiek, który umysłem pracuje naprawdę twórczo i nie mechanicznie. Żadną zaś miarą nie można nazwać pracownikiem intelektualnym urzędnika pocztowego, który nalepia marki na listach, ani komisarza starostwa, który wydaje paszporty dla ludzi, koni i bydła, ani wreszcie tej tysiącznej rzeszy ludzi, chodzących w surdutach i krawatkach, którzy podszywają się pod miano inteligencji i mniemają o sobie, że są co najmniej solą tej ziemi.

Otóż w rękach tej pseudointeligencji urzędniczej znajduje się niepodzielnie całe nasze sądownictwo, kolejnictwo i administracja, ta administracja, która dzięki opieszałości, przekupstwu i lenistwu, stała się u nas oddawna jednym wielkim skandalem. Stwierdził to niedawno urzędownie prezydent Witos w znanem przemówieniu do przedstawicieli stronnictw sejmowych.

Tak postępują warstwy oświecone!

Tymczasem od masy najbardziej nieoświeconej, bo od chłopstwa, żąda się wysokiego idealizmu i świadczeń sentymentalnych, w imię niezrozumiałych dla niego haseł.

Do chłopa trzeba mówić kategorjami czysto chłopskiemi. Trzeba mu uświadomić, że Polska jest jego oczywistym interesem, jest dojną krową, która daje wprawdzie mleko, ale w zamian za to domaga się wiązki siana.

To znaczy, że w dobrze zrozumianym własnym interesie należy państwu oddać podatek mienia, krwi i pracy, że obywatelem w całem tego słowa znaczeniu jest człowiek, który ma odwagę powiedzieć rządowi nietylko: daj! — ale także: bierz!

Polska się utrzyma, jeśli się stanie takim oczywistym interesem szerokich warstw ludowych.

W tej nowej Polsce chłopi, jako reprezentujący 80% ludności znajdą poczesne miejsce, gdyż zadowolony, bogaty i pracowity chłop jest stosem pacierzowym państwa, ostoją ładu i porządku. Ale siły drzemiące w ludzie może uruchomić tylko inteligencja, czyli ogół jednostek wyrobionych intelektualnie, moralnie i narodowo, posiadających przywilej zdolności. Może i powinna istnieć równość pod względem prawnym, gospodarczym i towarzyskim, ale sprowadzenie zdolności do wspólnego mianownika miernoty, nie da się nawet pomyśleć. Prawdziwa inteligencja opanowuje i zwycięża wszystkie przewroty społeczne ciężarem gatunkowym swojego talentu i szerokim horyzontem myśli. Prawdziwa inteligencja idzie z postępem czasu.

*
* *

Ruchy ludowe zwracają się z dziwną nienawiścią do pseudointeligencji. Dzieje się to dlatego, ponieważ człowiek nieoświecony instynktownie obawia się sprytu i przebiegłości jednostek wyższych intelektualnie. Powtóre, specjalnie w Polsce, pseudointeligencja urzędnicza, przesiąknięta kulturą staroszlachecką, stała się ostoją reakcji i z zaciekłością broni haseł porzuconych nawet przez arystokrację rodową.

Nikt bardziej nie zwalczał reformy agrarnej, nikt większą nienawiścią nie zieje do chłopa, jak właśnie ta półinteligencja, zasiadająca po sądach, magistratach i ministerjach.

Ta półinteligencja z nienawiścią patrzy na wzrost potrzeb kulturalnych robotnika i chłopa.

Jako *curiosa* podaje się fakty, że jakaś Marysia kupiła sobie flaszkę wody kolońskiej, że chłop jechał drugą klasą, a kmiotek w dzień powszedni „włożył kurę do garnka“. Czy dziewka ma zawsze trącić gnojem, a chłop zajadać tylko kwaśnicę i ziemniaki?

Ja osobiście cieszę się z tego pędu chłopskiego do kultury. Wprawdzie chłop chwyta dziś z naszego dorobku kulturalnego bezwartościowe plewy, ale przyjdzie czas, kiedy sięgnie spracowaną ręką nieco wyżej. Wszak gimnazjalista po otrzymaniu świadectwa dojrzałości przedewszystkiem kupuje laskę, jako symbol ludzi dorosłych, zapominając, że cechą człowieka dorosłego jest takt, doświadczenie życiowe i niezależność osobista i materjalna, a nie laska. Ale natury pierwotne czepiają się zawsze szczegółów,

które im najbardziej imponują, a zapoznają to, co jest istotą prawdziwej kultury.

Półinteligencja jednak musi pogodzić się z faktem, że pęd warstw ludowych ku pełni praw politycznych i towarzyskich jest niepowstrzymany, że chłopu i robotnikowi sprzykrzyła się rola obywatela drugiej klasy, od którego lada hołysz miejski uważa się za coś nieskończenie wyższego.

Prawdziwa inteligencja, oparta na przywileju pracy, zdolności i charakteru może być o los swój w Polsce ludowej spokojną.

DR JÓZEF WŁODEK.

Niepodległość a kwestja języka w stosunkach międzynarodowych.

Niepodległość polityczna jest fundamentem istnienia państw i narodów i podstawą wszelkiej innej niepodległości. Tam, gdzie naród nie ma swej wolności politycznej, nie może być mowy o niezależności ekonomicznej. To też narody najpierw dobijały się zawsze o swą wolność polityczną, aby następnie ugruntowawszy ją, dążyć do niezależności gospodarczej. Wolności politycznej nie można jednak identyfikować z samem istnieniem państwa, jako takiego, bo nieraz przy pozornie wolnem państwie kwitnie niewola, uprawiana przez silniejszych sąsiadów, wprost i otwarcie, lub pod rozmaitemi pozorami.

Walka o naszą niepodległość jeszcze nieukończona. Odzyskaliśmy dopiero byt państwowy w znaczeniu politycznem, a teraz przyjjdzie kolej na walkę o niepodległość gospodarczą. Dzisiaj jesteśmy ptakiem, którego wypuszczono na wolne powietrze z klatki, ale obcięto mu skrzydła. Aby sobie to uzmysłowić, trzeba sięgnąć okiem poza granice naszego państwa. Dopóki sąsiedzi bliżsi i dalsi są dla nas łaskawi, możemy się tu i ówdzie poruszać i coś robić, ale skoro ujawni się kaprys któregoś z nowożytnych ciemiężycieli gospodarczych lub wyłoni się pewna rozbieżność interesów, możemy być przez nich zupełnie od świata izolowani.

Chciałem się zająć drobnym szczegółem języka w stosunkach międzynarodowych i rolą, jaką tenże odgrywa, względnie będzie

odgrywał w walce o niepodległość gospodarczą, i o równouprawnienie w stosunkach na terenie międzynarodowym, zarówno pod względem politycznym, jak i gospodarczym.

Język, jako środek porozumiewania się pomiędzy poszczególnemi państwami, a raczej narodami, odgrywa rolę pierwszorzędną. My należymy do narodów, które na forum międzynarodowem językowo są nadal niewolnikami. Na terenie najbardziej rozwiniętych stosunków politycznych i handlowych panującemi są języki: angielski i francuski. Pierwszy ze względu na największą liczbę mówiących nim na świecie osób, drugi dzięki swym specjalnym zaletom i tej roli, jaką Francja odgrywała w ubiegłych stuleciach. W stosunkach politycznych utarło się nawet przekonanie, że język francuski jest prawnie uznanym językiem dyplomatycznym. Zapatrywanie zgoła błędne, bo poza zwyczajem nie ma żadnej do tego prawnej podstawy. Zwyczaj zaś pochodzi stąd, że był ongiś modny w sferach arystokracji europejskiej, a że ta uważała zawód dyplomatyczny i bywanie na dworach monarchów, za swój wyłączny przywilej, więc też siłą używania wyrobiła językowi francuskiemu nazwę języka rzekomo dyplomatycznego. Anglicy zazdrośnie patrzyli na to, bo ich język więcej był rozpowszechniony w stosunkach handlowych i bankowych. Na każdym kroku wykorzystywali sposobność, aby faktami akcentować, że ich język jest w stosunkach międzynarodowych ważniejszy, aniżeli francuski. Wojna europejska przeprowadziła lub spowodowała pośrednio wiele rewolucyj, a więc także i rewolucję językową. Przy rozbudzonym dzisiaj silnie pierwiastku narodowym, języki francuski i angielski przestały odgrywać swą dawną rolę i choć ilość mówiących temi językami się nie zmniejsza, przeciwnie może — powiększa, to jednakże języki te straciły swój dawny nimb i przekonanie, jakoby one tylko były jedynym środkiem porozumiewania się w stosunkach międzynarodowych. Konferencja pokojowa w Wersalu i sposób podpisania protokołu wywarł na Francuzów mniej przyjemne wrażenie, bo język francuski stracił broniony zawsze przywilej języka rzekomo dyplomatycznego, ale ważniejsze są jeszcze skutki, jakie to wywiera w dziedzinie innych stosunków. Jak równość, to równość wszędzie, a zatem i w dziedzinie języka.

Dla nas Polaków ma ta kwestja szczególnie ważne znaczenie. Niewola polityczna wywarła także swój skutek na nasz język. Jak nie istniała Polska na karcie politycznej Europy, tak też nie istniał język polski poza ścianami domowemi w niektórych zaborach,

a w innych poza granicami tych zaborów. Ci zaś z Polaków, którzy na forum międzynarodowem występowali, czasem się nie przyznawali, że są Polakami i język polski na terenie obcych państw był znanym tylko z nazwy, a nasza arystokracja bawiąca się w różnych stolicach i międzynarodowych letniskach, mówiła tylko po francusku. Stąd też ci z obcych, którzy Polskę sądzili po tej arystokracji, z pewną logiczną racją mniemali, że w Polsce każdy mówi po francusku.

Dzisiaj stosunki znacznie się zmieniły. Nie znaczy to jednak, abyśmy Polacy nie mieli się uczyć obcych języków. Przeciwnie, więcej jeszcze, niż dotąd, są one nam potrzebne i wychowanie młodzieży musi pójść jak najdalej w kierunku rozpowszechniania nowożytnych języków. Dzisiaj występujemy jako państwo i naród na forum międzynarodowem i do każdej pracy w tym kierunku potrzeba jak najwięcej znajomości języków. Niemniej jednak będziemy walczyć o równouprawnienie językowe aż do skutku. Nasz język musi mieć proporcjonalnie te same prawa, co każdy inny. Gdyby któryś Polak, znalazłszy się na terenie obcego państwa nie mówił językiem francuskim, angielskim, czy niemieckim, lub innym językiem tego kraju, w którym się znajduje — toby go bodaj że nogą kopnięto. Jak można, aby ktoś z Polski nie mówił obcemi językami! A u nas co się dzieje? Gdy czasem ktoś z obcych parę słów po polsku powie lub odczyta parę wierszy po polsku, to dzienniki piszą zaraz na ten temat całe artykuły. W Anglji, Polak mówiący po angielsku, jest czemś naturalnem. A u nas, gdyby świeżo przybyły Anglik powiedział wykoszlawionym akcentem: „Dsin dobri panu“, to w prasie jest odrazu artykuł pochwalny na jego cześć. Czy to nie jest dowodem naszego niewolnictwa językowego?

U nas może zresztą jest więcej obrońców języka francuskiego, jako rzekomo języka dyplomatycznego i międzynarodowego, aniżeli gdziekolwiek indziej. Jest to proste i jasne. W dziedzinie dyplomacji i służby konsularnej z naszych była czynną jedynie polska arystokracja. Uważa też to ona nadal, jako swój przywilej i nie mogąc czem innem, broni swej pozycji językiem francuskim.

W dziedzinie stosunków handlowych na polu językowem będzie prawie zawsze analogja tego, co będzie w stosunkach politycznych.

Równouprawnienie językowe w sferze stosunków międzyna-

rodowych, politycznych i handlowych, nie przyjdzie jednak tak łatwo. Państwa w tem interesowane, a więc przedewszystkiem Anglja, Ameryka i Francja, będą, za wszelką cenę i wszelką presją bronić praw swego języka, ale z drugiej strony inne narody nie mogą pozwolić na to, żeby ich język dlatego, że jest liczebnie słabszy, został zupełnie wyłączony.

Jakie jest rozwiązanie? Albo:

1) Używanie we wszystkiem, w piśmie, korespondencji i rozmowie języka państwa, w którem się ktoś znajduje, a więc: we Francji francuskiego, w Rumunji rumuńskiego, w Polsce polskiego, albo

2) języka międzynarodowego sztucznego, dla wszystkich jednakowo dostępnego.

To tylko bowiem zapewnia wszystkim równouprawnienie i zmusza wszystkich do względnie równego wysiłku. My będziemy się uczyć obcych języków dla pracy we własnym czy obcym kraju, ale również i Francuzi czy Anglicy i Amerykanie będą się uczyć języka polskiego. Nie jest to rzeczą tak obojętną, jakby się wydawać mogło. Przyjmijmy, że w Polsce jest trzy miljony osób, mówiących przeciętnie j e d n y m o b c y m j ę z y k i e m. Gdybyśmy przyjęli, że na względne opanowanie obcego języka we własnym kraju potrzeba w formie nauki szkolnej, samouczenia się lub konwersacji trzech lat po 1 godzinie dziennie, albo roku po 3 godziny dziennie, to ogół Polaków musiałby zużyć na to 3.285,000.000 godzin i znaczne koszta, podczas gdy Amerykanie, Anglicy i Francuzi, nie potrzebując się uczyć w tej mierze obcych języków co my, mogli zużyć ten czas na inne studja lub jakąkolwiek pracę produktywną lub choćby rozrywkę. Prawda, że języków uczą się przeważnie ludzie młodzi, mało czynni w pracy produktywnej, ale i starszych wielu musi się uczyć obcych języków, ze stratą dla innych zajęć. Gdy zaś przez zaprowadzenie reguły, że używa się języka państwa, w którem się przebywa lub z którem się pracuje, zmusimy uczyć się Anglików, Amerykanów i Francuzów naszego języka; gdy znów przyjmiemy, że potrzeba rok czasu po 3 godziny dziennie, aby opanować język, a przynajmniej 50.000 obcych będzie się uczyć naszego języka, to będą na to potrzebować 5,475.000 godzin. Utrata tylu godzin, które w znacznej części możnaby poświęcić pracy produktywnej, jest wcale znaczną; oznacza ona przytem dla nas pewne plus w stosunku do tych państw. Wyżej wspomniane i inne narody, chcąc utrzymywać stosunki z całym szeregiem innych państw, będą musiały

uczyć się wielu innych języków. To też ogólna liczba z pośród Francuzów, Anglików i Amerykanów, mówiących innymi językami, będzie musiała pójść w miljony, a ilość potrzebnych na to godzin pracy w grube miljardy. Dla nas, Polaków, którzy sobie dość łatwo przyswajamy obce języki, nie będzie to prawie żaden większy wysiłek, niż dotychczas. Ale proszę sobie wyobrazić, co za trudność oznacza nauczenie się języka polskiego, czeskiego czy rosyjskiego dla Anglika czy Amerykanina, lub Niemca czy Francuza. Jeśli się nie będą chcieli uczyć, to też dobrze. Nasi będą im służyć. Wielu naszych ludzi znajdzie za granicą i w kraju dla obsługi obcych intratne zajęcie, jako korespondenci, tłumacze i t. p. A gdy ustanie u nas w kraju to kłanianie się w pas każdemu Anglikowi czy choćby Francuzowi, to będą się oni u nas uczyć naszego języka, inaczej nie będą się mogli z taką łatwością jak dotychczas porozumieć — będą wszędzie, jak „na tureckiem kazaniu“. Pamiętajmy zawsze o tem, że tak, jak w polityce, tak i na polu gospodarczem, żadne państwo nie robi dla nas nic więcej, niż to, co leży w jego własnym interesie. Jesteśmy zawsze skazani przedewszystkiem na siebie i na własne siły. Będziemy mieć i znaczyć tem więcej, im więcej potrafimy zdobyć własną pracą i walką o równość we wszystkiem, a za tem także i na polu językowem.

Dążenie do tego, aby posługiwać się językiem tego kraju, w którym się przebywa, ujawnia się coraz silniej, oczywiście wszędzie, tylko nie w Polsce. Polak za granicą, nie władając językiem obcym, musiałby przy załatwianiu jakiejkolwiek sprawy sam postarać się i wodzić za sobą tłumacza. A w Polsce, gdy przyjdzie Anglik, a odnośny urzędnik nie włada językiem angielskim, to w lot rozbija się za tłumaczem dla niego, miasto, żeby on sam się o niego postarał. Południowo - amerykańskie republiki, wcale nie tak znowu mocne, jak n. p. Uruguay czy Paraguay, wcale się nie żenują, odpowiadając w swoim języku krajowym na pisma poselstw i konsulatów, pisane do tych władz po francusku czy angielsku. A w Polsce ktoby odważył się Francuzowi odpowiedzieć na jego pismo francuskie po polsku. Byłaby z tego odrazu obraza, przeprosiny, pisałoby się o tem artykuły, jako o braku kurtuazji wobec Francuzów i t. p. To też zbyt silny ślad naszej dawnej niewoli politycznej.

Drugie rozwiązanie — to kwestja języka międzynarodowego

sztucznego. Dzisiaj może ta kwestja stanie się więcej aktualną, niż kiedykolwiek przedtem.

Przy równouprawnieniu wszystkich języków na terenie stosunków międzynarodowych, jedynie język sztuczny, łatwy do nauczenia, a prosty swą konstrukcją i wspólny swojemi podstawami najbardziej używanym językom narodów kulturalnie najwyżej stojących, może wszystkich zadowolić, a przynajmniej nikogo nie skrzywdzić. I tu Polacy, mając twórcę języka sztucznego „Esperanto" Zamenhofa i pewne znaczne już rozpowszechnienie tego języka u siebie, znajdują się w korzystniejszej sytuacji, niż inne narody, i dzisiaj czas najwyższy podjąć kampanję o wprowadzenie w życie tego języka na forum międzynarodowych stosunków, zarówno politycznych, jak i handlowych.

Język jest jednym ze skromnych, ale ważnych środków walki o naszą niezależność, względnie równouprawnienie w stosunkach międzynarodowych i o to młode pokolenie Polski odrodzonej — ludowej, będzie walczyć aż do skutku.

Równe traktowanie języka polskiego z innymi językami i praca nad wprowadzeniem języka międzynarodowego „Esperanto", którego kolebką jest nasza Ojczyzna — oto jedno z wielu najbliższych naszych zadań. Praca konsekwentna i wytrwała doprowadzi niewątpliwie do rezultatu.

Zajścia z językiem hiszpańskim na międzynarodowym kongresie pocztowym w Madrycie, oraz na posiedzeniach Ligi Narodów w Genewie w r. 1920, są dla nas nie małą w tej pracy zachętą, a zarazem dają dowód na to, że kwestja języka międzynarodowego w ten tylko sposób rozwiązana być może.

Zdecydowana opozycja dzisiejszych menerów Ligi Narodów przeciwko językowi „Esperanto" nie powinna nas zrażać; przeciwnie, pobudzi nas do wysiłku w tym kierunku, gdyż ujawnia to wyraźnie korzyści stąd dla nas płynące.

JAN H. PARVI.

Sowiecka Rosja. [1])

1. Po obaleniu caratu w Rosji następuje szereg etapów przejściowych rewolucji, jak powołanie jako jedynego czynnika rządzącego Dumy, następnie konstytuanty, potem Rad robotniczo-żołnierskich deputatów, komitetów i t. p.

Naród, upojony swobodą, „nie mógł umiarkowanie nasycić“ się samostanowieniem — wkrótce zbrzydło mu to wszystko, a po nadmiernem użyciu władzy przyszła refleksja. Stan ekonomiczny państwa wskutek dezorganizacji i chaosu zaczął podupadać, nastąpiła powolna ruina handlu i przemysłu, tak, że wkrótce przekonano się na własnej skórze, iż doktryny nie zawsze można zastosować w praktyce. Z każdym dniem ceny wzrastały do niebywałych rozmiarów, a zapobiec temu było niepodobna. Wkrótce masy rządzące wpadły w zupełną dezorjentację i częścią usunęły się od rządów, częścią wpadły pod jarzmo z góry uplanowane prowodyrów bolszewickich, ukrytych i ustawicznie z zaparciem się rzucających hasła komuny. Bezczelnie ujęli oni całą władzę w swoje ręce, a więc komitety rządzące, urzędy, szkoły i t. p. i zaczęli narzucać ludności swój system.

2. Najwyższa władza wykonawcza i ustawodawcza należała do „Ogólno-rosyjskiego centralnego wykonawczego komitetu“. (Wsierosyjskij centralnyj ispołnitelnyj komitet) w Moskwie, krótko „Wcik“ zwany, w skład którego już na początku przewrotu bolszewickiego weszli Lenin-Uljanow, Trocki-Bronsztejn, Zinowiew (pseud.), Radek i t. d. Dekrety przez nich wydawane zobowiązywały całą Rosję z pewnemi tylko lokalnemi zmianami w wykonawczych gubernjalnych komitetach (G. I. K.). Członkowie rządu wybierani byli z początku przez ludność, z biegiem czasu jednak z powodu forsowania przez agitatorów komunistów, ludność zmuszona była głosować wyłącznie na komunistów, aż w końcu partja przestała się liczyć ze wszystkimi, sama stawiała kandydatów i wybierała członków.

Zebrania składały się przeciętnie z 15—30 członków, zwoływane mniej więcej co 10 dni, często z powodu ważnych spraw, jako zebrania nadzwyczajne. Uchwały przeprowadzano większością z decydującym głosem prezesa.

Najwyższą władzę karną pełnił Rewolucyjny trybunał przy Rewkomitecie w Moskwie, któremu podporządkowane były pośrednio, jako niższe instancje rewolucyjne, trybunały gubernjalne. Członkowie komuniści, wyznaczeni przez partję bolszewików na pewien czas z rozmaitych instancyj sowieckich, rozstrzygali najważniejsze kwestje karne, które nie wchodziły w zakres działania

[1]) Od b. zakładnika, który przebył w Rosji wszystkie przewroty, otrzymujemy szereg interesujących informacyj co do stosunku w sowieckiej Rosji.

„nadzwyczajnych komisyj“; n. p. nieporozumienia między instytucjami, prezesami Związków, przewinienia partyjnych lub sowieckich urzędników należały do kompetencji rewolucyjnych trybunałów. Zebrania, złożone z kilkunastu przeciętnie członków, odbywały się rzadko i tylko, jeśli tego wymagały sprawy. Najwyższe kary wymierzano za czyn kontrrewolucyjny, rządową kradzież lub przekupstwo. Wyroki śmierci od początku przewrotu bolszewickiego zastosowywano na każdym kroku, z wyjątkiem paru miesięcy oficjalnego zniesienia kary śmierci, po nadmiernem nasyceniu się „czerwonym terrorem“. Z końcem 1919 r. praktykowano kary „rozstrzeliwania z zastrzeżeniem“, to znaczy, że jeśli przestępstwo powtórzy się po raz drugi, wówczas winny, puszczony na wolność (dla wypróbowania), ponosi karę śmierci.

3. Organ narodowo-gospodarczy (Sowiet Narodnago Hoziajstwa) składa się z różnorodnych odgałęzień, jak:

Komisarjat gubernjalny żywnościowy, K. G. transportowy, K. materjałowy, K. leśny, K. auto, K. garbarni, K. tłuszczowy, i t. p. i t. p. Niektóre z tych wydziałów rzucały się do pracy samodzielnie, niezależnie od organu gubernjalnego gosp., tylko od centrum w Moskwie (na przykład orłowski gubernjalny transportowy komisarjat, bezpośrednio powinien być zależnym od organu Nar. Gosp. w Orle, tymczasem był z nim w ustawicznym sporze i porozumiewał się tylko z Moskiewskim transportowym komisarjatem — wynikały więc często nieporozumienia i chaos w rządzeniu).

Na zebrania O. N. G., które odbywały się regularnie co tydzień, przedstawiciele wszystkich odgałęzień powinni się stawić; rozpatrywano tam działalność tygodniową oraz przesądzano kwestje większością z decydującym głosem prezesa. Aż do roku 1920 wszystkie wydziały gospodarki wewnętrznej Rosji, kierowane były przez „Kollegja“ t. j. 3—5 członków naznaczanych przez wykonawcze komitety. Oni zawsze mieli prawo decydowania w swoim zakresie działania, naturalnie przy zastosowaniu sowieckich rozporządzeń i dekretów. System ten jednak sami bolszewicy uznali za niepraktyczny z powodu niezgodności i nieznajomości rzeczy członków kollegjum — tak, że na początku roku 1920 zaczęli usuwać kollegja, a pełną władzę oddali pojedynczym fachowcom, (inteligencji), nawet bezpartyjnym.

4. Zaopatrzenie ludności w niezbędne produkty i towary codziennego użytku należało do Gubernjalnego żywnościowego komisarjatu (Gubprodkom) — w jego ewidencji były wszystkie rządowe spichrze, składy, sklepy danej gubernji. Zaopatrzenie ludności w żywność było jednak coraz to trudniejsze z powodu zastoju w każdej dziedzinie przemysłu i rolnictwa. Wszystkie składy żywnościowe pustoszały z każdym dniem. Chłop teroryzowany, z nienawiścią przywoził ziarno w minimalnej ilości, które ledwie mogło zaopatrzyć wojsko, utrzymywane wewnątrz Rosji. Towary jak sól, cukier, nafta, były na wagę złota cenione

z powodu utrudnionego przewozu z gubernij południowych. Ludność, znając ten stan gospodarki, nie oglądała się na komisarjaty, tylko wegetowała, radząc sobie według możności.

5. Gubernjalny przewozowy komisarjat zajmował się translokacją towarów oraz rzeczy należących do instytucyj sowieckich. Prócz własnych wozów, w ważniejszych wypadkach posługiwał się prawem rekwizycji furmanek miejskich, oraz wozów chłopskich. Największą działalność okazywał „Gubtramot" przy ewakuacji zagrożonych miejscowości przez nieprzyjaciela; od prezesa tylko zależało przeprowadzenie jej — wówczas posiadał władzę wprost nieograniczoną, gdyż cała odpowiedzialność za „dobro narodowe" leżała na jego głowie.

Ta organizacja w Rosji była możliwie dobrze postawiona, a świadczy o tem dokładne opróżnienie miejscowości przed zajęciem przez nieprzyjaciela. Drugą czynnością „Gubtramota" była rejestracja wszystkich składów w mieście i lokali niezamieszkałych. Po niedokładnej nacjonalizacji, przeprowadzonej przez Gubprodkom, wiele składów i lokali, zapełnionych towarami, należało w dalszym ciągu do osób prywatnych. Zadaniem więc Gubtramota było wyszukiwanie takowych i przekazywanie ich odpowiednim instytucjom. Całe miasto podzielone na rejony, przydzielone było specjalnym agentom, którzy mieli w ewidencji najdokładniejszy stan tych lokali. Naturalnie i tutaj nie obeszło się bez nadużyć i łapówek.

6. Gubernjalny komisarjat lasów prowadził gospodarkę leśną danej gubernji — z powodu braku fachowców i ludzi, którzyby z oddaniem pracowali na tem polu, gospodarka leśna stała niżej krytyki. Na zebraniach kollegjum, ludzie nie mający pojęcia, decydowali często w sprawach leśnych, naturalnie, nie zastanawiając się nad przyszłością. Wycinali młode drzewa doszczętnie na opał i na budowle. Najfatalniej niszczono lasy w pobliżu miast, w porozumieniu z „Gubtopliwem" (Gubernjalny komisarjat opałowy), który, źle zorganizowany, nie zastanawiał się nad prawidłową gospodarką leśną i wycinał wszystko, co było zdatne do opału. Instytucje sowieckie, komuniści i wojsko, najlepiej zaopatrzone były we drwa — obywatel miejski natomiast był na ostatnim planie i otrzymywał może raz na miesiąc do 10 pudów (160 kg) mokrego drzewa opałowego, co wystarczało mu normalnie na parę dni. Nic dziwnego, iż w nocy rąbano płoty, składy drewniane i drzewa i tem chociaż w części opalano mieszkania. Z powodu kradzieży bolszewicy wydali dekret, zabraniający pod karami aż do rozstrzelania włącznie (wpłot do razstreła), stosowania tego pomysłowego opalania; mało to jednak pomogło. Na wiosnę miasta z powodu braku ogrodzeń, przybrały bardziej charakter „narodowej własności".

7. Najfatalniej ze wszystkich instytucyj funkcjonował Miejski żywnościowy komisarjat (Gorprodkom), który oddzielił się od Gospodarczego komisarjatu i tworzył organ prawie niezależny. Z powodu ustawicznego zmniejszania się pro-

dukcji, niedostawiania ziarna przez chłopów, ciągłych rekwizycyj wojskowych i t. p., obywatele miejscy nie byli nigdy dostatecznie zaprowiantowani. Miasta, podzielone na okręgi, miały po parę rządowych sklepów, które rozdawały na kartki towary. Rozróżniano 4 kategorje: pierwsza, to robotnicy pracujący fizycznie w warsztatach rządowych otrzymywali najwyższą normę produktów; druga, to urzędnicy sowieccy, pracujący umysłowo dla rządu; trzecia, to robotnicy, urzędnicy, pracujący prywatnie; ostatnia, to ludzie bez pracy, mało kto jednak przyznawał się do tego. Rozdawanie produktów było nieregularne, z każdym miesiącem zmniejszano normę, aż wkońcu doszło do absurdu. W r. 1920 (do kwietnia) mieszczanin otrzymywał co parę dni $^1/_8$ funta chleba owsianego lub zmieszanego z makuchą — co parę tygodni $^1/_4$ funta soli, tyleż cukru, trochę kaszy, parę pudełek zapałek i t. p. minimalne dozy, które wystarczały najwyżej na parę dni a nie mogły służyć za podstawę odżywiania się. (Najgorszy czas w Orle był po odstąpieniu Denikina — z powodu ustawicznych rekwizycyj żywności przez wojska; ludność miejska, ogołocona ze wszystkiego, przez parę tygodni odżywiała się kapustą, śledziami i zmarzłemi kartoflami — o chlebie, mięsie i tłuszczu nikt nie marzył). Z powodu opłakanego stanu aprowizacji rządowej wytworzyła się t. zw. „Spekulacja“ (nasz pasek), do której, z wyjątkiem małego procentu komunistów, zaliczano prawie każdego obywatela sowieckiej Rosji. Robotnicy mimo, iż byli lepiej sytuowani, zajmowali się również tem samem, aby wegetować, gdyż z zarobków i deputatów książkowych utrzymać się było niepodobna. We wsi na każdym kroku szalony brak cukru, soli, zapałek, papierosów dawał mieszczanom możność handlu zamiennego. Jakżeż trzeba urządzić się, aby nie zginąć z głodu w tym „Raju swobody“? A więc o ile się ma znajomych spekulantów (prawdziwych, prowadzących pasek na wielką skalę — ich nie brak w Rosji sowieckiej) starać się trzeba o kupienie towarów, których jest zapotrzebowanie na wsi — z temi to rzeczami lub ze swemi staremi gratami (na które chłopi średnią uwagę zwracają) idzie się na wieś 30—60 km za miasto, wsie okoliczne bowiem są zwykle ogołocone z żywności z powodu częstych nawiedzań mieszczan, oraz rekwizycyj wojskowych. Zmęczony obywatel nieraz kilkakrotnie kołacze do chaty chłopskiej, zanim go przyjmą i wejdą w porozumienie. Ale na tem nie koniec; z produktami zamienionemi wraca do domu: jest jeszcze narażony na zatrzymanie przez rekwizycyjną straż postawioną koło miasta, musi się więc wykręcać, oszukiwać oraz nadrabiać dziesiątkami kilometrów, aby uniknąć tej przeszkody. Z powodu trudności dowozu ceny wzrastały z każdym dniem coraz to bardziej, a były miesiące iż z największą trudnością chłopi przemycali trochę mąki lub kartofli do miasta za niebywałe sumy. Najlepiej zaprowiantowanym był komunista, należał do swej kooperatywy, która przewidując marny stan żywnościowy zawczasu rekwirowała co tylko mogła i robiła zapasy. Wprost jak na kpiny często Żywnościowy komisarjat zapo-

wiadał szumnie w gazetach o naddatkach z powodu zbliżających się świąt sowieckich lub kościelnych. Kończyło się to zwykle bardzo opłakanie, bo dodatkiem paru cukierków lub łyżki marmolady rozwodnionej (na człowieka). Na ogół stan aprowizacji był straszny, z każdym dniem spichrze i składy rządowe pustoszały, coraz to bardziej następował powolny krach wskutek zastoju rolnictwa i przemysłu.

8. Jedną z zasad komunizmu był równomierny podział mieszkań i mebli między mieszkańców miast. Funkcja ta należała do „Mieszkaniowego komisarjatu“ (Żilkomu). Od r. 1919 energicznie zabrano się do rozdzielania mieszkań, rekwizycji mebli i t. p.; na każdego mieszkańca wyznaczono $4^1/_2$ m^2 pokoju; łóżko, 2 krzesła, szafa, lustro i parę drobiazgów stanowiły cały dobytek, reszta to rzeczy zbytku, które rekwirowano i zwożono do składów rządowych. Naturalnie, część umieszczano w instytucjach sowieckich, a część dostarczano do luksusowych mieszkań pp. komisarzy. Ścisłe przeprowadzenie tej reformy było nie do wykonania i wkrótce instytucja ta wpadła w bezradność i dezorjentację. Ludność przed czasem, uprzedzając rekwizycje, starała się o usunięcie nadmiaru tych luksusowych „rzeczy zbytku“ oraz oszukiwała w różny sposób owe komisje. Z nienawiścią wpuszczano do swych mieszkań tych kontrolorów życia rodzinnego, którzy bez ceremonji szperali wszędzie i zaglądali do każdego kąta. Przez dostawianie łóżek dla rzekomych lokatorów, zadawnianie meldowań i t. p. wykręcano się od nadmiernego zredukowania pokoi, a w wielu domach urządzano się wprost po dawnemu (łapówki grały rolę). Mieszkania i rzeczy kolejowców nie podlegały rekwizycjom według dekretów, jednak komisarze często nie liczyli się z tem i postępowali wedle swego widzimisię. O ile kto przeprowadzał się, wówczas był zmuszony wyszukać pokój w mieście co było połączone z wielką trudnością; z tem udawał się do Komisarjatu mieszkaniowego, aby ten zatwierdził możność nowego zamieszkania, oraz przeniesienia się, ale i tutaj trzeba było dużo sprytu; nie można było się przyznać do znalezionego pokoju, gdyż z pewnością byłby zarekwirowany dla tych, którzy dawniej czekają, trzeba było brać pozwolenie tak zwany „order“ na spółlokatę z dawnym mieszkańcem. Order ten był potrzebny dla milicji w celu zameldowania się, bez czego pod srogiemi karami nie można było nawet kilku godzin przemieszkać. Meble również można (było) przewieźć tylko za specjalnem pozwoleniem Komisarjatu mieszkaniowego. Nielegalną drogą trudno było to wykonać z powodu ustawicznych kontroli i rewizyj furmanek przejeżdżających po mieście. Fortepiany oraz wszelkie instrumenta muzyczne były na tak zwanym „uczocie“ zarejestrowane bez wyjątku, lepsze firmy rekwirowano do klubów czerwonoarmistów oraz do „konserwatorjów“. Do jakiego stopnia interesowano się fortepianami przytaczam następujący wypadek. W pewnym domu był zarejestrowany fortepian i przyłączony chwilowo do mebli danego pokoju. Były właściciel z powodu przenie-

sienia się do sąsiedniego pokoju przesunął również i ten instrument, bez którego nie mógł się obejść. Następnego dnia po zjawieniu się komisji powstaje awantura, kto i jakiem prawem przestawił to „dobro narodu“ z oznaczonego miejsca, zestawiają protokół i po kilku dniach nieszczęsny właściciel siedzi w więzieniu. Wypadków podobnych było bardzo wiele, a świadczy to aż nadto o wzniosłej swobodzie sowieckiej. Inaczej urządzali się komuniści; mieszkali wykwintnie, nie liczyli się z metrami kwadratowemi, porekwirowali najwspanialsze meble i rzeczy, jednem słowem, mieszkania ich nie miały nic wspólnego z krzewicielami zasad komuny. (Pamiętam podczas bytności u komisarza zdrowotności w Orle, zdumiony byłem przepychem i drogocennością mebli i rzeczy — wszędzie dywany — szale, gobeliny, urny pozłacane i t. p., naturalnie, wszystko rekwirowane).

9. „Nadzwyczajna komisja w walce z kontrrewolucją, spekulacją i niewypełnianiem obowiązków“.

(Czerezwyczajna komisja po borbie z kontrrewolucjej, spekulacjej i subotażom), krótko zwana „Czeka“ — czyli środowiszcze monopolizacji zbrodni rabunku i złodziejstw. Organizacja, wsławiona okrutną swą działalnością, której historja nigdy nie zapomni. Początkowo utworzone „Czeka“ miało charakter czysto wojskowej żandarmerji — zadaniem jej było li tylko niszczenie kontrrewolucji; do zorganizowania „Czeka“ przyczynili się Polacy i Łotysze, jednak po pewnym czasie pousuwali się, a pozostali Rosjanie, Żydzi i mały procent innych narodowości. Wszyscy ci ludzie zwyrodniali, nie mający nic wspólnego z ideą, pracowali z chęcią dorobienia się. Mały procent mszczących się za własną krzywdę i za krzywdę swych braci na urzędnikach carskich. Na ogół typy kryminalne, okrutni, niedostępni, wprost anormalni, nie liczą się ze staremi latami, ani z inteligencją, już samym zewnętrznym, bandyckim wyglądem wzbudzający odrazę. Wielu z nich skończyło w domach dla obłąkanych — do czego doprowadziło ich życie krwiożercze. Budynek „Czeka“, obierany zwykle w centrum miasta, silnie był strzeżony — częścią przeznaczony na mieszkania, częścią dla badania spraw, oraz więzienia. Przy wchodzie nie robiono najmniejszej trudności, przy wyjściu jednak trzeba się było legitymować kilku przepustkami. Składy na zarekwirowane rzeczy, oraz piwnice, w których rozstrzeliwano obwinionych, były przy każdym z takich gmachów. Aresztowanych trzymano aż do wybadania w pokojach ku temu przeznaczonych — jeśli okazał się winnym więzienia, odsyłano go tam — skazanych na śmierć wtrącano do piwnic, gdzie czekali na rozstrzelanie. Głównem zadaniem „Czeka“ było prześladowanie „kontrrewolucji“, naturalnie potem pod tem hasłem wszystkich, którzy byli niewygodni, podporządkowano „Czece“ i karano zazwyczaj śmiercią. Prześladowanie spekulacji i „sabotażu“ (niewypełnianie obowiązków) weszło później nieco do jej zakresu; do tego jednak przywiązywano mniej wagi. Można

liczyć, iż 70% członków „Czeka“ pracowało jedynie dla zebrania pieniędzy, a mieli do tego sposobność, gdyż przeprowadzali ustawicznie rewizje pod rozmaitemi pozorami w domach byłych „burżujów“ i spekulantów, gdzie często znajdywali niebywałe cenności. To też często po dokonaniu rewizji u członków „Czeka“ znajdowano porekwirowane fundusze. „Czerezwyczajka“ miała wprost nieograniczoną władzę — zależni byli bezpośrednio od centrum (z którem jednak się nie liczyli, gdyż uznawali „władzę na miejscu“ — „włast pomiestam“) poniekąd tylko od rewolucyjnego trybunału miejscowego, który w porozumieniu z partją mógł przeforsować swe żądania. Z tego powodu powstawały często spory i nieporozumienia, które rozstrzygało centrum. Każde miasto powiatowe miało swoje „Czeka“, zależne od gubernjalnego, umieszczone zazwyczaj na dworcach. Prezes miał władzę wprost nieograniczoną i był postrachem wszystkich mieszkańców. Nie było na tyle odważnych, którzyby ośmielili się donieść do gubernjalnego „Czeka“ przekroczenia i nadużycia, często popełniane na mieszkańcach, gdyż gub. „Czeka“ zwykle szła na rękę powiatowym i pociągała do odpowiedzialności denuncjantów za oczernianie władzy sowieckiej. Zdarzało się jednak, iż skargi dochodziły aż do centrum w Moskwie; wówczas zjeżdżała specjalna komisja „Czeka“, celem skontrolowania działalności gubernji lub pow. czerezwyczajki, a po wykryciu nadużyć krótko załatwiano się z winowajcami. W połowie 1919 roku w Orle cała „Czeka“ została rozpędzona za złodziejstwa, łapówki i t. p., a prowodjerzy rozstrzelani. Władza wykonawcza „Czeka“ należała do komisarza — władza organizacyjna do prezesa — mniej więcej 80% członków, to tajni ajenci, którzy należeli do różnych grup, jak: specjalna grupa podsłuchiwaczy, śledcza, podkupywaczy, rewizji i t. p. Śledztwa przeprowadzano w równie okropny sposób, jak za dawnych, carskich czasów — używano przypiekań, bicia, stołków elektrycznych i t. p. Skazańców wrzucano do brudnych i zimnych piwnic, celem znęcania się stawiano po kilka razy do rozstrzelania. Po zajęciu Orła przez Denikina w końcu 1919 r. piwnice „Czeka“ napełnione były trupami. Czerwony terror bowiem naznaczony trwał parę miesięcy — wówczas całemi masami chwytano na ulicach ludzi o inteligentniejszym wyglądzie, zupełnie nie biorących udziału w kontrrewolucji — trzymano w więzieniu, znęcano się i bez racji rozstrzeliwano. Inna kategorja więźniów — to tak zwani „zakładnicy“. W czasie rozkwitu kontrrewolucji poaresztowano po miastach ludzi wybitniejszych, czy to rozumem, czy to pieniądzmi — tak zwanych „byłych burżujów“ — i trzymano w więzieniach w celu ewentualnej zamiany za komunistów — mało jednak który z nich doczekał się oswobodzenia — zazwyczaj umierali z głodu lub byli rozstrzeliwani. Trzecia kategorja — to spekulanci, mordercy i t. p.; na nich patrzono przez palce. Po rozbiciu kontrrewolucji (Denikin, Kołczak i t. p.) „Czeka“ wykazywała jeszcze większą działalność — a więc łapano resztki kontr-

rewolucjonistów, którzy nie zdołali uciec — potem aresztowano popów za nadmiar radości przez bicie w dzwony po przyjściu białych — następnie zabrano się do ludzi, którzy przyczynili się do wyłapywania komunistów, oraz grabienia żydów — winnych rozstrzeliwano bez pardonu. Wkońcu aresztowano rodziny wojskowych białych, którzy uciekli z kontrrewolucją — rzeczy ich konfiskowano, a za większe przewinienia mężów lub braci rozstrzeliwano żony i matki. Szeroki zakres działania, pole do popisu dla jednostek, wyzutych ze wszystkiego, co moralne i etyczne. W tej działalności odznaczył się komisarz „orłowskiej czerezwyczajki“, niejaki Abramow, młodzieniec 25-letni, były urzędnik pocztowy, ambitny, energiczny, lecz wyzuty ze wszelkich szlachetniejszych popędów (wybił się na pierwszy plan) i był uznanym z powodu swego okrucieństwa nietylko w gubernji, lecz w Rosji. Po wypiciu szklanki wódki własnoręcznie rozstrzeliwał uwięzionych po kilkunastu dziennie, i to przedstawiało mu największą przyjemność. Następstwem tego były ustawiczne halucynacje i napady i skończył w zakładzie dla obłąkanych. Nie lepszym od niego był jego przyjaciel, prezes orłowskiego „Czeka“ (dawniej morderca ojca i siostry), niejaki Wildgrube, kaukazczyk, kowal, który stale powtarzał: „serce me, jak kamień, nikogo nie żałuje“. Tym podobnych typów były setki; budowali oni swobodną Rosję, opierając się na spaczonych doktrynach. Materjał mieli podatny, gdyż naród rosyjski oddawna przyzwyczajonym był do nahajki, ucisku i żandarmerji. Bolszewicy, widząc tradycyjne przyzwyczajenie się ludności do tego, wprowadzili wkrótce po objęciu rządów powoli ten sam stan, tylko w innych formach. I tak nahajkę zamienili na rewolwer, ucisk na czerwony terror, a żandarmerję na „Czeka“. „Dziś, będzie u ciebie rewizja „Czeka“ — wystarczyło, aby te słowa wprowadziły w kataleptyczny stan każdego osobnika — przed niczem bowiem więcej obywatel rosyjski nie drżał, jak przed więzieniem w czerezwyczajkach.

Prócz tej organizacji bolszewicy wprowadzili powoli aż cztery rodzaje policji, które na każdym kroku dawały się we znaki ludności; one to ustawicznie wzajemnie sobie przeszkadzały, stwarzały się nieporozumienia, zawiść i chaos z powodu rywalizacji. Członkowie, jak zwykle, żądni zysków, wyrzutki społeczeństwa lub ukrywający się przed służbą wojskową. Największe znaczenie jak wyżej wspomniałem miała „Czeka“. W gubernjach przyfrontowych natomiast sprawy przekroczeń wojskowych oraz często kontrrewolucyjnych należały do tak zwanego „Sektoru“ wewnętrznej ochrony R. S. F. S. R. rodzaju żandarmerji wojskowej, w szerokim pasie granicznym o najwyższej władzy, nie podlegającej Rew. trybunałowi. Organizacja ta zawsze była w kontakcie ze Sztabem i „Czekiem“. Prezes miał głos w danej miejscowości nieograniczony, zależny tylko w niektórych wypadkach od sztabu; panem był życia i śmierci ludności, a od usposobienia jego zależały setki istnień (prezes sektoru w Siebierzu na granicy łotewsko-

rosyjskiej przedstawiał typ wyjątkowo inteligentny: były student politechniki w Rydze — ideowiec; prezes „Sektoru“ w Połocku żyd, zawzięty, podejrzliwy, niecierpiący Polaków.

Dla utrzymania porządku oraz bezpieczeństwa publicznego w mieście zorganizowaną była milicja; funkcjonowała nieintensywnie, gdyż była podporządkowana „czekom“, „sektorowi“ i t. p. Przeznaczona była (również) do obław na dezerterów, do trzymania straży w nocy, oraz przy robotach przymusowych do kontrolowania meldowań, utrzymania czystości i t. p., jednem słowem, funkcje podrzędne, wypełniane z rozporządzeń wyższych władz. I tak, jeśli milicja zatrzymywała kogoś podejrzanego o kontrrewolucję, dezercję lub spekulację, to po krótkiem przesłuchaniu w rejonowej milicji winnego odsyłano do „Czeka“. Małego rodzaju przestępstwa, jak złodziejstwa, zakłócenie porządku publicznego i t. p., należały do zakresu milicji — obwinionych trzymano w aresztach swojego gmachu. W zimie milicja najbardziej była dokuczliwą dla mieszkańca miasta. Z powodu ustawicznych zamieci tory kolejowe, drogi, mosty były często zasypywane śniegiem. Spędzano więc setkami mieszczan, dawano odpowiednie narzędzia i nieraz przez kilkanaście godzin przymuszano do pracy. Po zamieciach śnieżnych mało kto wychodził na ulicę, bojąc się obław — w domach nawet chowano się przed ustawicznemi wizytami tych ludzi, którzy zabierali od lat 18—50 wszystkich, prócz tych, którzy legitymowali się posadą rządową, lub świadectwem lekarza sowieckiego. Mimo, iż milicja skrupulatnie wypełniała zlecenia władz wyższych, uważano ją zawsze za niesympatyzującą z rządem. W kilku miastach bowiem, po przyjściu białych, milicja w komplecie oddała się na usługi rządom kontrrewolucyjnym.

Mniej więcej taki sam zakres działania miała tajna milicja, nie umundurowana — śledziła podejrzane osoby, rozpatrywała oszustwa, donosy i t. p., sprawy ważniejsze przekazywała do „Czeka“ lub „sektorowi“.

Po opuszczeniu przez białych miejscowości rosyjskich, bolszewicy zorganizowali znów inny rodzaj policji, a mianowicie „Rozisknaja komisja“ (poszukująca komisja), która zajmowała się odszukiwaniem zrabowanych rzeczy podczas najścia białych, wyłapywaniem winnych za rabunki, donosy na komunistów i t. p., jednem słowem, uregulowanie stosunków po zamęcie kontrrewolucyjnym. Do miłej wegetacji w Rosji sowieckiej dopomagały jeszcze ustawiczne rewizje — nie było wprost tygodnia, w którymby nie naznaczono jakiejś ogólnej (na wszystkich mieszkańców) rewizji. „Czerezwyczajka“ szukała zazwyczaj broni, władze wojskowe dezerterów, komisje meblowe ukrytych składów z meblami, „Gubtramot“ składów i t. p., równocześnie kontrolowali ustawicznie i śledzili za tajnikami życia rodzinnego. Z powodu najmniejszych bezpodstawnych donosów lub podejrzeń przetrząsano cały dom i niszczono nieraz podłogi i ściany. Najczęściej rewidowano domy

celem obławy na dezerterów. O świcie wojsko wraz z przedstawicielami „Czeka“, „milicji“ i t. p. obstawiało przeznaczone im części miasta — zastawiano szczelnie ulice — nikogo nie przepuszczano i robiono szczegółowe rewizje we wszystkich domach. I nietylko obchodził ich stan dezerterów; często wtrącali się do wszystkiego, co nie miało legalnych form wegetacji sowieckiej. Nie było domu, któregoby nie przetrząśnięto kilkakrotnie, lecz mimo to spryt w chowaniu różnych nielegalnych przedmiotów doszedł do wyrafinowania; przeróżne skrytki w stajniach, piwnicach, strychach, a nawet podwójne ściany w pokojach były praktykowane. (W Orle zrewidowano jeden dom 3 razy w 7 dniach; najpierw wpadła „Czeka“ po broń, potem „sektor“, szukając kontrrewolucjonisty, wkońcu meblowa komisja, szukając rzekomo ukrytego składu). Taki stan ustawicznych rewizyj niepokoił i popychał do coraz to większej apatji mieszkańców i zmuszał do zastosowywania się do rozporządzeń rządowych.

10. Trudnem zadaniem była reorganizacja czerwonej armji po upadku rządu Kiereńskiego. O wojnie nikt nie chciał słyszeć, urządzenia techniczne częściowo zniszczono, częściowo wojsko demobilizowane sprzedało za bezcen sąsiednim państwom. Ale mimo to zabrał się naczelny wódz Trocki z wielką energją do reorganizacji armji, jakkolwiek brak amunicji, broni i szalony procent dezerterów dawał się wszędzie we znaki. Przedewszystkiem zabrał się do tępienia dezerterów; na każdem publicznem miejscu rozlepiano setki plakatów, wzywających do powrotu do armji, bez wyznaczenia kar. Opornych ścigano, aresztowano i rozstrzeliwano bez pardonu, nietylko ich samych, lecz nawet członków ich rodzin. Wszelkie bunty i szemrania wojska, tłumione w zarodku, zaczęły ustępować, aż wkońcu nikt oficjalnie nie odważył się wystąpić przeciwko władzy sowieckiej, bojąc się kary śmierci. Partja komunistów, z każdym dniem powiększająca się, zasilała wojsko elementem agitacyjnym wśród młodego rekruta. Imponował bowiem żołnierzowi już sam tytuł komunisty, a przy niewielkich argumentach, które zwykle trafiały do przekonania, lekko powciągano wielki procent żołnierza do partji. Z biegiem czasu przyjmowali reguły i doktryny komunistyczne, aż wkońcu dorównali swym krzewicielom swobody — a nic nie było gorszego, jak ciemny chłopak 20-letni, jednostronnie tylko uświadomiony; doktryny raz nabyte, nie łatwo mu można było wybić z głowy — czuł się on potężnym satrapą w stosunku do ludności bezpartyjnej. W armji z początku było 10—15% komunistów, potem wzrośli do 35%, reszta — to mięso armatnie, „terroryzowani“, którzy przy lada sposobności uciekali. Z powodu silnego prześladowania w r. 1920 dezercja prawie ustała — na ogół żołnierz sterroryzowany nie cierpi swych instruktorów i komisarzy, czekając tylko cierpliwie na to, aby wybuchnąć, a skierowałby się przedewszystkiem przeciw Żydom i komisarzom — milczy jednak głodny, obdarty, nie widząc znikąd poparcia. Z początku reorga-

nizacji armji nie było prawie żadnej różnicy między instruktorami (oficerami) a żołnierzami, potem coraz to bardziej zaczęto zwracać na nią uwagę, aż wkońcu doszło do dawnego stosunku żołnierza do oficera. Winnych nieposłuszeństwa żołnierzy cieleśnie karano, często rozstrzeliwano — na ogół wymiar kar był o wiele sroższym, aniżeli za carskich czasów. Każda poszczególna organizacja wojskowa, od armji aż do oddziałów, posiadała t. z. politkomów, politycznych komisarzy — zajmowali się oni podniesieniem ducha żołnierza — a więc agitacją, wiecami, lekturą i t. p., oraz szpiegowaniem. Do nich żołnierze zawsze odnosili się z niechęcią, wystrzegali się i żyli w niezgodzie. Nawet pociągi sanitarne posiadały tych aniołów stróżów politycznych. (Na pociągu sanitarnym Nr 39 była „politkomem", żydówka, która na każdym kroku zaznaczała swą władzę i z powodu nieznajomości fachowej stwarzała ustawiczne nieporozumienia). Zaprowiantowanie armji przedstawiało się niżej krytyki — wewnątrz państwa żołnierze odżywiali się trochę lepiej, aniżeli na froncie, gdyż nie licząc się z nikim, przeprowadzali ustawiczne rekwizycje i odbierali (mieszkańcom, ludności), co mogli. Przed najściem Denikina do Orła armja czerwona dawała pełną folgę swemu głodowi — grabili, gdzie tylko mogli — odbierali często ostatni kęs głodnemu włościaninowi lub mieszkańcowi miasta. Pomiędzy temi bandami wojska znaleźć można było zupełnie niezłe oddziały konnicy, a zwłaszcza „konnicy Budiennego", która wsławiła się przy odwrocie Kołczaka, Denikina i innych kontrrewolucjonistów, złożona przeważnie z awanturników kozaków, nie mających nic do stracenia, a pobudzonych chęcią zdobycia bogactwa. Sam Budienny, były oficer. Zewnętrzny wygląd czerwonej armji, w 70% przedstawiał się bardzo opłakanie — wprawdzie utrzymał ekwipunek wojskowy nie najgorszy, jednak zwykle był zmuszony do zamiany tego na chleb. Ubierał się więc według swoich kombinacyj, tak, że często spotykano żołnierzy nawet we frakach, cylindrach zrabowanych i t. p. Niektóre jednak pułki łotyskie lub komunistów ubierały się zupełnie przyzwoicie — zaopatrzone były w żywność poddostatkiem. Co do broni, to zdarzało się, iż żołnierze często na kilkunastu ludzi posiadali jeden dobry karabin i parę naboi. Komuniści byli zaopatrzeni w najlepszą broń i najwięcej mieli amunicji. Żołnierze do ataku pędzeni byli przez kulomioty Chińczyków i komunistów — chęć zagarnięcia obiecywanej żywności oraz nagrabienia się do syta była moralną pobudką żołnierza sowieckiego; patrjotyzmu i walki dla idei nie można było się dopatrzeć. Podporą armji sowieckiej były pułki czysto łotyskie, do 100.000 ludzi, ochotnicze, (częścią amatorzy, częścią ideowcy).

Pierwsi zaciągali się w szeregi dla zysku i dla samej wojny, ideowcy natomiast przy potędze sowieckiej Rosji chcieliby wywalczyć socjalistyczną Łotwę. Karmieni byli dobrze — umundurowani nieźle (podwójne dozy wszystkiego), jednak już w czerwcu

1920 roku masami powystępywali z powodu zawarcia pokoju między Rosją a Łotwą białą i powracali do domu. Karność wojska sowieckiego rozluźniona początkowo, powoli zaczęła powracać, wprowadzono odznaki szarż waleczności, komunistów i t. p. Najgorzej było, gdy armja zmuszona była ustępować; karność wówczas spadała do minimum, a nieposłuszeństwo i bunty wojskowe wszędzie dawały się we znaki; przy następywaniu natomiast wzrastała buta i bezczelność komunistów, a czując się pewnymi, ostro i okrutnie obchodzili się z żołnierzami. Polaków na początku reorganizacji armji obliczano na 20%; służyli częścią celem utrzymania się, częścią dla celów ideowych (były nawet całe oddziały polskie). Powoli jednak wycofywali się, tak, że na początku 1920 roku pozostało ich może 3%, aż wkońcu, po wydaniu dekretu, iż żaden Polak nie może należeć do organizacyj wojskowych, zupełnie zostali wyrugowani.

11. Komisarjat opieki nad zdrowotnością (Zdrowochranienia). Już od zablokadowania i odcięcia granic Rosji od sąsiadujących państw z powodu niemożliwego przewozu medykamentów, epidemje coraz to bardziej zaczęły grasować. Na każdym kroku szalony brak podstawowych lekarstw (aspiryna, kofeina, rycina, chinina i t. p.) dawał się odczuwać, co umożliwiało rozszerzanie się tyfusu, cholery, hiszpanki i t. p. We wszystkich szpitalach niedbalstwo, brudy i wielki brak opatrunków, bielizny, oraz personalu pielęgniarskiego dawał się we znaki. W jednym ze szpitali tyfusowych, do którego zaglądnąłem, chorzy, którzy już przeszli kryzys, leżeli z tymi, którzy zaczynali chorować po dwóch na jednem łóżku w brudnej pościeli, zwaleni jak psy. Obojętni na wszystko, z rezygnacją czekają, czy organizm ich przezwycięży chorobę — gdyż na pomoc i pielęgnowanie liczyć nie mogli. Przy gorączce i szalonem wycieńczeniu organizmu rzucano im dziennie po kawałku chleba czarnego, lub po parę ziemniaków. Zimno przytem nie do wytrzymania, gdyż bardzo trudno o opał; często temperatura w szpitalach dochodziła do 0°. Personal szpitalny, zniechęcony w najwyższym stopniu, jest ustawicznie w nieporozumieniu z chorymi, którzy, niezadowoleni ze wszystkiego, złość swą wywierają na nich. I z pewnością nie stałoby pracowników szpitalnych, gdyby nie zmobilizowanie bez wyjątku wszystkich, którzy pracują lub pracowali w tym fachu (od posługaczek do lekarzy). Wszystkie sprawy sanitarne, jak: szpitali, doktorów, lekarstw i t. p. należały do Komisarjatu opieki nad zdrowotnością w każdej gubernji, które z osobna podporządkowane były centralnemu w Moskwie. Po znacjonalizowaniu aptek, lekarstwa i środki lecznicze prędko zniknęły z widowni, chowane przez spekulantów i ludzi „przewidujących". Zlikwidowano wiele aptek — pozostałości skoncentrowano w kilku aptekach sowieckich, które były zaopatrywane przez miastowy centralny skład apteczny, zazwyczaj wyczerpany zupełnie. Że środki lecznicze w Rosji były pochowane, świadczy o tem następujący przykład: Zarządzający orłowskiego central-

nego składu medykamentów z powodu braku leków otrzymał polecenie zakupienia towarów po cenie rządowej w Moskwie. Naturalnie tą drogą nic nie dostał, więc wystarał się o pozwolenie zakupienia tych środków po paskarskich cenach. (A więc komuniści, nie uznający spekulacji, przyciśnięci, zgodzili się na to). — Wszystko dostał, ale za sumy niemożliwie wysokie. Na każdym kroku dawał się odczuwać brak lekarzy, którzy, korzystając z lada okazji, uciekali za granicę od tej „wegetacji swobody". Reszta lekarzy była zmobilizowana, młodszych wysłano na front, starsi zaś pozostali wewnątrz; część dnia musieli poświęcać sprawom rządowego leczenia (wojska), a część mogli praktykować prywatnie, naturalnie, za ceny wprost śmieszne, naznaczane przez komisarjat.

12. Komisarjat dla jeńców i uchodźców. (Komisarjat o plennych i bieżeńcach). Instytucja uważana zawsze za kontrrewolucyjną z powodu wielkiego procentu pracującej inteligencji oraz obcopoddanych — zorganizowana dobrze — pracuje możliwie sprawnie na tak zdezorganizownym gruncie. W ostatnich czasach jednak dał się odczuć wielki procent żydów, a temsamem ich sposób rządzenia — wiele istnień ludzkich zależało od prezesa — pod płaszczem bowiem uchodźców przejechało najmniej 20% wybitniejszej inteligencji i arystokracji rosyjskiej. Do czasu zaostrzenia stosunków z Polakami uchodźcy regularnie przejeżdżali przez granicę do kraju; potem, bolszewicy nietylko nie przepuszczali nikogo, lecz jeszcze aresztowali Polaków i odsyłali do obozów koncentracyjnych w głębi Rosji. Starali się tylko przemycać żydów, Rusinów i Litwinów, celem szerzenia propagandy. Od roku 1920 dola uchodźców Polaków przedstawiała się opłakanie. Ludzi od lat 18—45 aresztują, wysyłają do obozu koncentracyjnego na roboty przymusowe i t. p. W każdym widzą wroga i szpiega, podburzani ustawicznie przez żydów. Polacy z drżeniem serca oczekują powrotu — ta myśl pociesza ich tylko w tej gehennie — czują tylko żal do rządu polskiego, iż nie otworzył granic wcześniej, kiedy była możność przejazdu. Jeszcze do roku 1919 Polacy mieli swe organizacje uchodźcze, skautowe, chrześcijańskie, P. P. S. i t. p. Wszystko to jednak, nawet klub P. P. S. zostało zniesione, jako zabytki burżujów, a utworzono „Oddział polski przy klubie komunistów z politkomem" do spraw polskich (w Orle niejaki „Sawicz"). Członków Polaków można było wyliczyć na palcach (w Orle na 3000 uchodźców może 15 ludzi było członkami); wszystkie sprawy o zabarwieniu polskiem przechodziły przez ręce „politkoma", zamianowanego przez partję komunistów.

13. Żydzi w Rosji. Już na początku przewrotu bolszewickiego, między inicjatorami w Moskwie, w wielkim procencie znaleźli się Żydzi (jak Bronsztejn, Zinowjew, Radek i t. p.); z biegiem czasu, przy rozkwicie bolszewizmu, Żydzi zajęli stanowiska pierwszorzędne, przeważnie nie ryzykowne. Tam, gdzie można było bezpiecznie robić interesa, tam, gdzie można było wpływać po-

średnio na ustrój wewnętrzny, dawał się odczuć wielki procent Żydów. Najpierw komisarjaty żywnościowe, gospodarcze, przewozowe, potem czerezwyczajki rewolucyjne i wykonawcze komitety powoli obsadzali „swoimi“. Z początku przewrotu obliczano masy rządzące na 10% Żydów, 50% Rosjan, 20% Polaków, 20% Łotyszów i 10% innych narodowości. Z czasem Polacy zupełnie ustąpili — to samo Rosjanie, może — z wyjątkiem 10%, natomiast procent Żydów i Łotyszów wzrósł niesłychanie. Z końcem 1919 roku wielu Łotyszów powracało do kraju, tak, że na stanowiska wcisnęli się Żydzi, gdzie tylko mogli. W roku 1920 było tam bezwarunkowo 75% Żydów, 10% Rosjan; reszta to Gruzini, Ormjanie, Łotysze i t. p.

Od czasu zyskania przewagi przez Żydów w rządzie sowieckim nigdy oficjalnie nie podnoszono kwestji żydowskiej — jeśli mówi się i szkaluje księży i popów, to nigdy rabinów — jeśli stawia się konie i urządza czytelnie w kościołach i cerkwiach, to nie profanuje się ich świętych miejsc. (Na zgromadzeniu w Orle pewien robotnik podniósł tę kwestję i napiętnował wytworzoną różnicę między religjami — nie pozwolono mu skończyć, a po wyjściu zaaresztowano). Pomiędzy komisarzami — Żydami, a ludnością żydowską był utrzymywany zawsze kontakt — nigdy nie widzi się tych uprzywilejowanych ani w ogonach żywnościowych, ani w ogonach u komisarzy z prośbami lub na przymusowych robotach. Po nacjonalizacji oni pierwsi uchronili swe towary, wchodząc w porozumienie z komisarzami. W roku 1920 widocznem było wzbogacenie się Żydów, wszędzie skupywali wartościowe papiery, carskie pieniądze, złoto, srebro i t. p. Ludność ich nienawidzi, boi się, przyciśnięta jednak cierpliwie czeka na sposobność odpłacenia się. I na pewno po przewrocie Żydzi ucierpią więcej, aniżeli kiedykolwiek — już nawet kontrrewolucja rosyjska chciała wypłynąć na haśle: „Bij Żydów, ratuj Ojczyznę“. Drukowano to w proklamacjach zwykle przed zajęciem terytorjum. — Na stanowiskach niebezpiecznych bardzo mało Żydów można zauważyć — naprzykład w wojsku, może 5%, i to między oddziałami tyłowemi — do uśmierzania buntów ich się nie posyła, również nie widać ich w żandarmerji pogranicznej; poczty i koleje są przez nich nieobsadzane z powodu braku i możności zarobku.

14. Chłop i komuna. Nie oglądnął się chłop rosyjski, jak po parutygodniowem rozpanoszeniu się został przygnieciony terrorem o wiele większym, aniżeli za caratu. Kilka tygodni tylko bolszewicy patrzeli przez palce na rozdzielanie i grabienie majątków. Prędko bowiem zabrali się do przeprowadzania na wsi swych reform. Aby wywołać walkę pomiędzy samymi chłopami, rozdzielono ich na dwie części — na tak zwanych „kułaków“ (bogatych chłopów) i na „biednotę“. Utworzone w każdej wsi komitety „biednoty“ („kombiedy“), które miały za zadanie szczegółowe obeznanie się ze stanem majątku każdego chłopa, przeprowadzanie rekwizycyj, pilnowanie dowozu ziarna do składów

rządowych i t. p. Straszna zawiść wkradła się między nich; bogatszy zmuszony był ustępować i żyć w zgodzie z komitetami, które popierane były siłą zbrojną. I tak, co robiły rozmaite komisarjaty w mieście, tem samem zajmowały się „kombiedy"; ustawiczne rewizje, regestracje, konfiskaty i t. p. były głównem ich zadaniem. Potem doszły do zbyt wielkiej władzy, tak, że już w roku 1920 zostały częściowo skasowane, gdyż zagrażały sowietom miastowym. Jedną z głównych reform było rozdzielenie gruntów wiejskich po $1^1/_2$ dziesięciny na osobę, przeprowadzono to dokładnie, lecz nigdy chłop nie był zadowolonym z tego, gdyż zazdrościł zawsze lepszej wedle niego części gruntu swego sąsiada. Plony zebrane nie należały do niego. Naznaczano tylko pewną normę ziarna na rodzinę, a resztę musiał oddawać wojsku, lub zwozić do składów rządowych. Doszło do tego, iż chłopi obsiewali tylko część swoich gruntów, aby po zbiorze wystarczyło tylko dla ich rodzin. Jednak i tę normę, raz naznaczoną, z powodu braku ziarna rząd redukował, tak, że w roku 1920 zeszło na pół funta chleba dziennie i na podobnie minimalne dozy innych produktów wiejskich. Nie pomogły chowania, ani zakopywania — wszystko znajdowały „kombiedy", oraz wojsko zgłodniałe. Bydło również ograniczono do minimum; na rodzinę można mieć było jednego konia, krowę, kozę, nawet nadmiar jaj i kur zmuszano do oddawania wojsku, lub do miejskich składów. Każdy włościanin, z wyjątkiem małego procentu członków „kombiedów" (zwykłe leniuchów, złodziei, którzy zwykle są w każdej wsi), znienawidził komunę, sterroryzowany jednak nie może wybuchnąć, nie będąc zorganizowanym. Wszystkie ich powstania były w zarodku tłumione, inicjatorzy bez pardonu rozstrzeliwani, tak, że odeszła im ochota do buntów. Czekają cierpliwie, przyzwyczajeni do nahajki (jeszcze oddawna) na lepsze czasy; inicjatywy jednak i poważniejszych wystąpień nikt u nich się nie dopatrzy. Jedyną ich pociechą są pieniądze, których nagromadzili sobie poddostatkiem, miasta bowiem zupełnie są przez nich ogołocone z pieniędzy carskich „kierenek", sowieckich i t. p. (liczono pieniądze często nie na tysiące, a na funty).

Co się stało z majątkami byłemi i lasami? Wszystkie przeszły do gospodarki sowietów — zaprowadzono z początku system zbiorowy rządzenia — potem go zniesiono, a całą administrację i odpowiedzialność za intenzywność oddano fachowcom agronomom, z komisarzami do kontroli; jak dawniej, trzymano parobków, mobilizowano chłopów do pracy, wprowadzono jeszcze gorszy system pańszczyźniany. Lasy przeszły w rozporządzenie „Leskomów", administrowane z wielką stratą gospodarki leśnej. Przed rewolucją chłop chociaż mógł kupić drzewo od właściciela; za kradzież nawet czekała go niewielka kara, obecnie za kradzież drzewa rozstrzeliwują, bojąc się, aby to nie przybrało większych rozmiarów. Tylko na początku przewrotu, kiedy bolszewicy umyślnie dali się rozpanoszyć chłopom, czuli się zupełnie dobrze; dworskich gruntów przywłaszczonych

jeszcze im nie odebrano, pozwolono rąbać lasy, rozgrabiać ziarno i inwentarz właścicieli dóbr i t. p., prócz tego spekulowali na wielką skalę; z każdym dniem podbijali cenę na produkta. Zbierali szalone pieniądze i wskutek tego szli na rękę bolszewikom. Powoli jednak, kiedy przekonali się o właściwych reformach bolszewickich i poczuli to na własnej skórze przez ustawiczne rekwizycje, rewizje, mobilizacje i t. p., przycichli i nienawidząc czekają zmiany.

Niechęć ich natomiast do kontrrewolucji tłumaczy się tem, iż usiłowanie wprowadzenia rządów reakcyjnych Denikina, Kołczaka lub Judenicza zwykle kończyły się jaknajgorzej dla chłopów. Wyzysk, terror, przedsmak caryzmu, rekwizycje bydła i furmanek na każdym kroku doprowadziły do równej nienawiści ku białym, jak ku czerwonym. Czekają czegoś trzeciego (przewrotu n. p. wewnątrz Rosji z konstytuantą) i do tego przylgnęliby całą duszą, zemściwszy się najpierw na komisarzach i Żydach, których uważają za sprawców ich nędzy i zniszczenia.

15. Jedną z najsilniejszych podstaw egzystencji bolszewizmu jest wspaniale zorganizowana przez Trockiego a g i t a c j a zewnątrz i wewnątrz Rosji. Za zmorą bolszewicką, głodem, chorobami i terrorem kroczy agitacja. Miljony pieniędzy rzucają bolszewicy na to, aby wpłynąć na psychologję ciemnego narodu (90% nieczytających) i skłonić ich często nawet optycznemi złudami do swych dążeń. A więc najpierw starają się oplątać masy więcej wykształcone — mowy logiczne i umiejętnie wygłaszane przez przewódców w centrum, drukowane w gazetach i plakatach tysiącami są rozrzucane. Ustawiczne zaszczepianie pewnych myśli często trafia do przekonania apatycznej inteligencji. Wszak nigdy nie czyta ona mów opozycyjnych, któreby nasunęły wiele wątpliwości i rozszerzyły zdolność krytyki — nie istnieją bowiem inne gazety, jak czysto komunistyczne („Prawda“, „Czerwona Gwiazda“ i organ rządowy „Oznajmienie“ — Izwiestki Wserosijskago Centralnego Ispołnitalnego Komiteta). Artykuły, naturalnie, są dopuszczane tylko komunistyczne — inne — nawet skrajnych socjalistów są odrzucane.

Wielkim atutem w ich działalności jest wytykanie przez samych siebie popełnionych błędów — oto po wydaniu dekretu często po kilku dniach oficjalnie obalają poprzednie, krytykując i temsamem uprzedzając krytykę poszczególnych osobników. „Wszak ludzie są omylni“, twierdzą i paraliżują szemrania apatycznej ludności. Prócz gazet operują umiejętnie plakatami, malowidłami, karykaturami i t. p. Z moskiewskiego centrum rozsyłane są po całej Rosji do poszczególnych agitpunktów masy różnorodnych ogłoszeń, skierowanych przeciwko starym rządom — burżuazji i kontrrewolucji. Karykatury o wielkich rozmiarach mają wielkie powodzenie — rozlepiane są wszędzie, nawet na cerkwiach i pociągach. Widziałem pociąg Zinowjewa, wymalowany cały karykaturami, z odpowiedniemi epitetami, najczęściej: „Precz z burżu-

azją"! — „Niech żyje internacjonalizm"! — „Proletarjacie wszystkich krajów łącz się"! i t. p. Robi to silne wrażenie na mało uświadomionych ludziach. Również święta bolszewickie, jak rocznice powstania komuny — obalenia caratu i t. p. bolszewicy starają się wykorzystać dla agitacji. Obywatele robią wszystko pod przymusem „Czeka": więc dekoracje, iluminacje domów, bramy triumfalne. Całość wygląda efektownie i wywołuje entuzjazm, przez ulice ciągną wprost bez końca pochody, naturalnie, przymusowe, pod wielkiemi karami organizowane — śpiew poszczególnych grup — setki sztandarów, wszędzie bramy triumfalne, oświecone setkami lamp elektrycznych i t. p. Każdy powiat ma t. z. „agitpunkt", biuro agitacji bolszewickiej, w zakres którego wchodzi umiejętność organizacji tych parad. Biura te mają swoje lokale, sale, mieszczące często kilkuset ludzi — na stołach są poprzybijane gazety — broszury agitacyjne — tygodniki i t. p. Ludzie, którzy i tak nie mają się gdzie zabawić lub posiedzieć, gdyż kawiarnie i restauracje zamknięte, zachodzą zachęceni muzyką i gramofonami. Muzyka przerywana jest często mowami, wygłaszanemi przez specjalistów — mowców, naturalnie, agitujących zawsze — same gramofony spełniają swe przeznaczenie, oddając mowy Lenina, Trockiego i t. p. Publiczność, złożona przeważnie z żołnierzy, w ostatnich czasach już niechętnie odnosiła się do tych krzewicieli komuny i po rozpoczęciu mowy zazwyczaj wychodziła. W miastach najlepsze domy oddawano tym instytucjom, oraz klubom różnym, jak szoferów, policji i t. p. Większą uwagę zwrócono na rozszerzanie się agitacji zewnątrz Rosji. Z gazet znane są te ustawiczne wyłapywania przemycanych miljonów przez granicę dla agitacji w całej Europie, a zwłaszcza w Polsce.

Książki, broszury, drukowane w Rosji, w wielu językach przemycają ajenci różnemi sposobami za granicę i rozrzucają wśród mas robotniczych. Sieć agitatorsko-szpiegowska, wszędzie wspaniale zorganizowana, podtrzymana najnowszemi wynalazkami technicznemi; Rosja wszędzie ma agitatorów zwłaszcza żydów, którzy są sprzymierzeńcami bezwzględnie oddanymi. Kontakt potajemny Rosji z całą Europą jest doskonale utrzymany — wszystkie ważniejsze wiadomości dochodzą do Moskwy. Zaraz n. p. po wybuchu rewolucji komunistycznej na Węgrzech (we dwa dni) obchodzono uroczyście święto jej w Rosji.

Agitacja w Rosji sowieckiej postawiona jest na pierwszym planie, a dobrze zorganizowana działa silnie na podniesienie komuny.

16. „Niech żyje wolność prasy"! hasło rzucone z początku rewolucji, wkrótce zostało doszczętnie obalone przez komunistów. Przedewszystkiem skonfiskowano drukarnie oraz urządzenia administracyjne i oddano do dyspozycji „agitpunktów"; naturalnie wyrugowano wszystko, co nie miało łączności z zasadami komunizmu. Byłych redaktorów oraz publicystów i dziennikarzy wybitniejszych poaresztowano — wielu rozstrzelano, zwłaszcza srogo

obchodzono się z lewymi socjalistami, których zawsze uważano za największych wrogów. Zaczęto wydawać gazety o podkładzie czysto partyjnym — głównie w celu szerzenia agitacji. Obywatele, wciągnięci od dawna w studjowanie gazet, z początku z zaciekawieniem czytali — potem zmrożeni ustawiczną agitacją i rozwiązywaniem wszystkiego z jednego punktu widzenia — powoli odzwyczajali się, nabierali wstrętu aż wkońcu nie czytali ich wcale. I to nietylko inteligencja, lecz żołnierze i robotnicy nie wierzyli wiadomościom, odczuwając często na własnej skórze nieprawdziwość artykułów i recenzyj. Do r. 1919 redakcje z wielkim trudem zaopatrywane były w papier — z biegiem czasu (z powodu zastoju tej gałęzi przemysłu) wydawano coraz to mniej egzemplarzy, aż wkońcu rozdawano tylko gazety urzędom, organizacjom wojskowym i przylepiano na oznaczonych publicznych miejscach. Najkulturalniejszą gazetą była „Izwiesti“ moskiewska, która umiała się chociaż maskować. „Prawda“ i „Czerwona Gwiazda“, drukowane przeważnie dla żołnierzy, nie mogły być czytane z powodu ordynarnej polemiki i wprost nieprzyzwoitych słów i przezwisk, skierowanych przeciwko wrogom. Tygodniki ilustrowane, o marnym podkładzie artystycznym i literackim, drukowane były przeważnie w celu agitacyjnym. Wszystkie księgarnie i czytelnie pokasowano, książki o podkładzie burżuazyjnym częścią spalono, częścią przekazano je klubom i agitpunktom.

Najpodatniejszym gruntem do zaszczepienia reform komuny był rosyjski robotnik; zaraz po przewrocie bolszewicy energicznie zabrali się do przeprowadzenia reform w fabrykach, oraz w warsztatach przemysłowych. Najpierw zorganizowano komitety robotników o władzy, kontrolującej właścicieli, oraz zarządzających fachowców, wkrótce jednak ich wyrugowano, tak, że fabryki zależne były jedynie od robotników.

Wprowadzono dzienną ośmiogodzinną pracę, podwyższono płacę i przeprowadzono wiele udogodnień dla pracujących. Po niedługim czasie wkradły się lenistwo i wielkie nadużycia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

P. SKIBA.

Z ostatnich dni.

Żyjemy od pewnego czasu pod znakiem stanowczej walki wewnętrznej o przyszłe wpływy i władzę; szereg stronnictw, mając to jedynie przed oczyma, widząc jedynie nadchodzące wybory, które przesłaniają często budowę samej państwowości, zastosowuje swą taktykę do ściśle określonych wyborami partyjnych interesów. Stąd stałe wstrząsania rządem, odwoływanie członków gabinetu (socjaliści, endecja, „Wyzwolenie“) — a temsamem zrzucanie

z siebie wszelkiej odpowiedzialności za to, co się w państwie dzieje. W państwie organizującem się — substratu do agitacji przedwyborczej, do grania na instynktach dość; w tej „zbożnej“ działalności zupełnie nałogowym opozycjonistom w stylu p. Stapińskiego dotrzymuje kroku bogobojny X. Lutosławski. Niewola wypaczyła nam dusze, zmanierowała umysły; na państwo, na rząd patrzymy, jako na coś obcego, coś, co można zbezcześcić, obarczyć miljonem zarzutów, może dlatego, iż samemu czegoś lepszego stworzyć — nie jest się w możności.

Okazało się to dowodnie w czasie ostatniego przesilenia. Prezydent Witos wygłosił swe „exposé“, pełne mądrych, z żelazną konsekwencją wyprowadzonych prawideł naszego życia i rozwoju; zażądał poparcia, zażądał współpracy wszystkich obywateli Polski nad jej rozbudową. Żądał poparcia — nie prosił o nie; żądał w poczuciu swej wielkiej odpowiedzialności za losy Rzeczypospolitej, poparcia nie przez podniesienie tylu a tylu rąk przy głosowaniu, lecz przez współdziałanie w tworzeniu państwowej potęgi. Duża większość Sejmu poparcie mu dała, od współudziału w odpowiedzialności za losy państwa się nie uchyliła. Uchyliła się znowu narodowa demokracja i socjaliści. Socjalistom się nie dziwimy; zapatrzeni zbyt gorliwie w doktrynę, przejęci do cna swą odwieczną deklamacją o rewolucyjności swego ruchu, o „burżuazyjnym“ rządzie, żyli wtedy właśnie w najgorętszym okresie swego rozwoju, w swem „być — albo nie być“ — gotowanem im przez komunistów; przez długi czas wychowując swe rzesze w opozycyjnym nastroju nie mieli odwagi kierować je na tory spokojnej i realnej pracy nad wypełnieniem demokratycznych ram państwowości polskiej rzetelną i prawdziwą kulturą materjalną i duchową robotniczych mas. Nie znający istoty naszych ugrupowań politycznych człowiek dziwił się niezawodnie opozycyjnością pp. Głąbińskich i Lutosławskich („władza od Boga!“), opozycyjnością ludzi, deklamujących znów o swem hyperpatrjotyźmie i państwowości — i to w czasie, w którym wyczuć można było drgnienia taranów, mających uderzyć w gmach narodowy. Myśmy już zwracali uwagę na fakt charakterystyczny właśnie u endecji: rości ona sobie pretensję do zastępstwa całokształtu spraw narodowych i państwowych Polski; stąd wynika ślepe utożsamienie interesu Polski i partji. Kto służy partji, służy Polsce; każdy inny, to pół, ćwierć, albo zgoła żaden Polak. Narodowa-demokracja, tyle razy skompromitowana, która stanowczo wykazała, iż Polską rządzić nie potrafi (gabinet Świerzyńskiego), a jeżeli tego się podejmie, zrobi to źle (Grabski i traktat w Spaa), musiała wybrać jedyną dla siebie drogę negacji, więc opozycji przeciwko rządowi.

Rząd Witosa dobrze na tem wyszedł; oczyściwszy się z naleciałości endeckich z prawej, uwolniwszy się od wątpliwych przyjaciół z lewej strony, zwarł się i spoił silniej, zyskał na mocy, której mu było trzeba i to koniecznie.

Konieczność tę wytwarzały długie ręce Moskwy i Berlina.

W Warszawie ogłoszono strajk kolejowy, następnie, jako demonstrację przeciwko militaryzacji środków komunikacyjnych — strajk powszechny. Przebieg przesilenia strajkowego ogólnie znany. Rząd Witosa, ręka w rękę z naczelnem dowództwem zdał świetnie egzamin ze swej siły. Strajku w Polsce właściwie nie było; niczem jest bowiem strajk kilkudziesięciu tysięcy ludzi w całem państwie, zwłaszcza, jeżeli się wie, że wśród nich duża część strajk ten, czysto polityczny, w interesie Moskwy i Berlina wywołany, uważa za swój grzech przeciwko państwu, uległszy terrorowi. Uderzał silny w nim udział elementu z żydowskiego „Bundu“, organizacji, jak wiadomo, czysto bolszewickiej. Dziwną rolę w strajku odegrała P. P. S. Przed strajkiem wypierała się wszelkich do niego sympatyj, deklarowała się owszem, jako jego stanowcza przeciwniczka. Kiedy już wybuchł, oddała sobie samej niedźwiedzią wprost przysługę — i proklamowała strajk powszechny. Ten strajk nie udał się zupełnie; nie udało się zupełnie zapowiadane dnia 27 lutego przez krakowski organ socjalistyczny zmierzenie się dwu potęg: burżuazyjnego rządu — państwa i zorganizowanego robotnika, bo robotnik „mierzyć się“ z państwem nie chciał. Równa się to klęsce wprost strasznej dla P. P. S., której nie zasłonią płomienne artykuły „Robotnika“ i „Naprzodu“.

Podpisany pisał w poprzednim numerze „Ogniwa“ o wrzeniu w łonie naszego socjalizmu, wywołanem przez tkwiący w niem silny element bolszewicki; życzył tam P. P. S. zwycięstwa; możliwe ono było przez przystąpienie do walki z wrogiem, ale nie do licytacji, boć przecież zwolennikom (i współwyznawcom) Trockiego w znajomości arkanów licytacji nikt nie dorówna... P. P. S., niestety na tę drogę weszła i została pobita, wprawdzie nie na licytacji hasłami, bo różnicy dwu odłamów socjalizmu naszego ciężko się było w czasie przesilenia dopatrzeć, ale przez to, iż robotnik w 90 przynajmniej procentach przeszedł około licytacyjnej hali obojętnie. P. P. S. przegrała razem z komunistami i to jest skutkiem całej strajkowej imprezy; obydwaj kombatanci sami położyli się na obie łopatki.

Charakterystycznem — nie moglibyśmy sobie darować nieprzytoczenia faktu — było opowiadanie jednego z bardzo mizernych „burżujów“, t. j. nędznego krakowskiego urzędniczyny o „wielkiej“ manifestacji strajkowej w Krakowie. Przedstawiciel proletarjatu, wielomiljonowy dostawca wojskowy, przemawiając o Witosie, nie używał innych słów, jak: „cham“, „gnój wyrzucać“ i t. p. Pono jakiś robociarz odwrócił się, splunął i zadowolony rzekł: „to ci cholera, „parch“, mocny w gębie“.

Tak zw. kwestja żydowska w Polsce zaczyna przybierać coraz to ostrzejsze formy. Poświęcimy jej w najbliższym czasie wyczerpujący artykuł. Chcielibyśmy tylko zwrócić miarodajnym czynnikom uwagę na jedno: czytelnik i obserwator, wsłuchający się i wpatrujący w linję polityki żydowskiej, musi tam zauważyć dążność do utworzenia w Polsce bloku t. zw. mniejszości narodowych.

Nie wierzymy wprawdzie w serdeczny stosunek chłopa ruskiego do rozsianego na wschodzie żywiołu żydowskiego; skłonni jesteśmy jednak do wiary w porozumienie się p. Hartglassa czy Grünbauma z p. Petryckim czy Budzynowskim. Caveant consules!

STATUT

Towarzystwa wydawniczego „POLSKA LUDOWA“

W KRAKOWIE.

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką.

Organy Stowarzyszenia.

§ 22. Organami Stowarzyszenia są:
Dyrekcja, Rada nadzorcza i Walne Zgromadzenie.

I. Dyrekcja.

§ 23. Dyrekcja składa się z dyrektora i 2 zastępców, wybranych przez Radę nadzorczą zwykłą większością głosów na 3 lata.

Dyrektor i jego zastępcy legitymują się protokółem wyboru, spisanym na posiedzeniu Rady nadzorczej.

§ 24. Dyrekcja zastępuje Stowarzyszenie sądownie j pozasądownie i podpisuje Stowarzyszenie w ten sposób, że pod brzmieniem firmy podpisuje się dyrektor i jeden z zastępców. W razie zaś nieobecności dyrektora obydwaj zastępcy, z których jeden pełni urząd dyrektora do czasu, zanim Rada nadzorcza nie dokona wyboru uzupełniającego na pozostały okres trzechlecia.

§ 25. Dyrekcja stanowi o przyjęciu członków. Nieprzyjętemu przysługuje prawo odwołania się do Rady nadzorczej.

§ 26. Dyrekcja zarządza majątkiem Stowarzyszenia i rozporządza kredytem, uzyskanym w granicach upoważnienia Rady nadzorczej, prowadzi księgi rachunkowe, zestawia bilans w myśl przepisów ustawy handlowej, dopełnienia obowiązków i czynności, przepisanych ustawą z 9 kwietnia 1873 r., nadto przedstawia Radzie nadzorczej i Walnemu Zgromadzeniu członków wnioski, co do rozdziału zysków.

§ 27. Dyrekcja czuwa nad tem, ażeby księgi Stowarzyszenia prowadzone były w myśl przepisów ustawy handlowej.

Po upływie roku administracyjnego, ma Dyrekcja najpóźniej do końca lutego roku następnego przedłożyć Radzie nadzorczej zamknięcie rachunków.

Rok administracyjny kończy się z dniem 31 grudnia każdego roku — pierwszy rok administracyjny kończy się jednak z końcem 31 grudnia roku następnego.

Zamknięcie rachunków powinno zawierać:

a) przychody i rozchody z poszczególnych rachunków w książkowaniu przyjętych;
b) rachunek zysków i strat;
c) bilans stanu majątku Towarzystwa;
d) rachunek szczegółowy funduszu rezerwowego;
e) wysokość odsetek pobieranych i płaconych;
f) liczbę członków Towarzystwa, stan udziałów, cyfrę przybytku i ubytku tychże w ciągu roku i kwotę wypowiedzianych i wypłaconych udziałów.

§ 28. Na mocy upoważnienia Rady nadzorczej może Dyrekcja przyjmować urzędników, którzy legitymują się dekretem nominacyjnym, przez Dyrekcję wystawionym.

§ 29. Członkowie Dyrekcji odpowiadają osobiście i solidarnie za przekroczenia z zakresu swego umocowania, przepisów ustawy z 9 kwietnia 1873 r. i postanowień niniejszego statutu.

§ 30. Bliższe prawa i obowiązki Dyrekcji określi regulamin, wydany przez Radę nadzorczą, po porozumieniu się z Walnem Zgromadzeniem członków.

II. Rada nadzorcza.

§ 31. Rada nadzorcza składa się z 6-ciu członków, wybranych na Walnem Zgromadzeniu na 3 lata zwykłą większością głosów. Jeżeli pierwsze głosowanie nie dało wyniku zupełnego, następuje wybór ściślejszy z pomiędzy tych, którzy w pierwszem głosowaniu największą ilość głosów otrzymali. W razie równości rozstrzyga los.

Corocznie ustępuje z Rady nadzorczej trzecia część tych członków, którzy trzy lata w Radzie nadzorczej zasiadali.

§ 32. Rada nadzorcza wybiera ze swego grona prezesa, wiceprezesa i sekretarza. — Uchwały zapadają zwykłą większością głosów, a w razie równości rozstrzyga przewodniczący. Do ważności uchwał Rady nadzorczej potrzebną jest obecność przynajmniej 4 członków Rady nadzorczej. Posiedzenia zwołuje prezes, lub też w razie przeszkody jego zastępca. Protokół, po przyjęciu przez Radę nadzorczą, podpisuje prezes i sekretarz.

Posiedzenia Rady nadzorczej powinny być zwoływane najmniej dwa razy do roku, a nadto na każde żądanie Dyrekcji lub przynajmniej 3 członków Rady nadzorczej, wniesione pisemnie z podaniem przedmiotu obrad. Dyrekcja uczestniczy w posiedzeniach Rady nadzorczej z głosem doradczym. Rada nadzorcza może jednakże odbywać posiedzenia poufne bez udziału Dyrekcji.

§ 33. Zadaniem Rady nadzorczej jest wybór i usuwanie Dyrekcji i czuwanie nad czynnościami Dyrekcji, a w szczególności:

1) oznaczenie wysokości kredytu, z jakiego Dyrekcja dla wzmocnienia obrotów może korzystać;

2) sprawozdanie z rachunków i kontrola gospodarki Dyrekcji;

3) sprawdzanie i zatwierdzanie zamknięcia rachunków bilansu i rachunku strat i zysków;

4) przedstawianie wniosków Walnemu Zgromadzeniu co do rozdziału zysku, lub pokrycia ewentualnie strat;

5) upoważnienie Dyrekcji w kwestji przyjmowania i oddalania urzędników;

6) decydowanie o wykluczeniu członka (§ 9, ad 3) i odpisaniu ich udziałów na pokrycie pretensji Stowarzyszenia.

W celu wykonania prawa kontroli wybiera Rada nadzorcza Komisję rewizyjną z pośród Rady nadzorczej, złożoną z 3 członków.

§ 34. Członkowie Rady nadzorczej odpowiadają za szkody, jakieby powstały dla Stowarzyszenia wskutek niedopełnienia przez nich ich obowiązków.

§ 35. Rada nadzorcza może z ważnych powodów zawiesić członków Dyrekcji w urzędowaniu; obowiązaną jest jednak w tym wypadku zwołać najdalej w ciągu miesiąca nadzwyczajne Walne Zgromadzenie członków.

W procesach przeciw członkom Dyrekcji Rada nadzorcza zastępuje Stowarzyszenie, legitymując się odpisem odnośnej uchwały Walnego Zgromadzenia i protokółem wyborczym.

§ 36. Członkowie Rady nadzorczej tracą mandat gdy bez usprawiedliwienia nie byli przez rok obecni na trzech z rzędu posiedzeniach Rady nadzorczej.

III. Walne zgromadzenie.

§ 37. Rada nadzorcza zwołuje Walne Zgromadzenie w pierwszej połowie roku przez 2-razowe ogłoszenie w jednym z dzienników krakowskich, lub w własnem czasopiśmie perjodycznem.

Na żądanie Dyrekcji lub przynajmniej 15 członków Stowarzyszenia, obowiązaną jest Rada nadzorcza zwołać nadzwyczajne Walne Zgromadzenie.

§ 38. Walnemu Zgromadzeniu przewodniczy prezes Rady nadzorczej, lub jego zastępca. Sekretarzy powołuje przewodniczący. Głosowanie odbywa się przez podniesienie rąk, a przy wyborach kartkami. Do ważności uchwał wystarcza każda ilość obecnych, jeżeli zachowano przepisy § 31.

§ 39. Walne Zgromadzenie:

1) udziela absolutorjum Dyrekcji;

2) stanowi o rozdziale zysków i strat;

3) wybiera Radę nadzorczą;

4) wybiera Komisję rewizyjną z 3 członków złożoną;

5) uchwala zmiany statutu;

6) orzeka o wykluczeniu członka w razie jego odwołania się (§ 9, ad 3 a);

7) stanowi o rozwiązaniu i likwidacji Stowarzyszenia.

§ 40. Do ważności uchwały w sprawie zmiany statutu potrzebną jest większość $^2/_3$ głosów obecnych.

Do ważności uchwały o rozwiązaniu i likwidacji Stowarzyszenia potrzebną jest obecność przynajmniej $^1/_3$ członków, reprezentujących najmniej $^2/_5$ części udziałów i $^2/_3$ głosów obecnych członków.

Rozwiązanie Stowarzyszenia.

§ 41. Rozwiązanie Stowarzyszenia następuje:

1) wskutek uchwały Walnego Zgromadzenia;

2) rozporządzenia władzy na mocy wyroku Sądu karnego;

3) otwarcia konkursu.

Przy likwidacji obowiązują postanowienia ustawy z dnia 9 kwietnia 1873 r. O użyciu pozostałych funduszów orzeka Walne Zgromadzenie.

§ 42. Walne Zgromadzenie rozstrzyga ostatecznie i nieodwołalnie wszelkie spory i nieporozumienia, wynikłe z brzmienia niniejszego statutu, wyłączając w zupełności możność udania się na drogę sądową.

§ 43. Postanowienia tego statutu wchodzą w życie z chwilą zarejestrowania go.

Postanowienia przejściowe.

§ 44. W pierwszym i w drugim roku istnienia Stowarzyszenia uzupełnia się Rada nadzorcza w następujący sposób: w pierwszym roku ustępuje 2 członków, wskazanych losem z pomiędzy całej Rady nadzorczej; w drugim roku ustępuje 2 członków dalszych Rady nadzorczej, również wskazanych losem z pomiędzy tych, którzy przez 2 lata funkcje swoje w Radzie nadzorczej pełnili.

§ 45. W pierwszych 5 latach od wejścia w życie niniejszego statutu nie wolno żadnemu członkowi udziałów w całości, ani też w części wycofać.

Wydawca: „Polska Ludowa“ Towarzystwo wydawnicze, Stow. zar. z ogr. por.
Red. odp.: Jan Owiński.
Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, ulica Jagiellońska 10.